

Legenda starego dworu



SELMA LAGERLÖF

Legenda starego dworu

TŁUM. JUSTYNA CZECHOWSKA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Działo się to pod koniec lat trzydziestych w piękny jesienny dzień. Stał wówczas w Uppsali¹ wysoki, żółty dwupiętrowy budynek, usytuowany dziwnie samotnie na niewielkiej łące, daleko na obrzeżach miasta. Dom był dość szkaradny i nieprzyjemny, ale upiększony mnóstwem dzikiego wina, które po słonecznej stronie wiło się tak wysoko po żółtej ścianie, że całkowicie otaczało trzy okna na piętrze.

W pokoju, za jednym z tych obramowanych winem okien, pewien student popijał poranną kawę. Był wysokim, przystojnym mężczyzną o pięknej aparycji. Włosy, które odchysywał wysoko nad czoło, ślicznie się kręciły, a grzywka nieustannie opadała na oczy. Ubrany był w wygodny, luźny szlafrok, a i w tym wyglądał całkiem elegancko.

Przyjemnie miał w pokoju. Stała tam wygodna kanapa i obite krzesła, duże biurko i solidne regały, lecz nie było na nich prawie żadnych książek.

Zanim zdążył dopić kawę, wszedł do niego znajomy student. Ten był zupełnie innego gatunku: niski, krępy mężczyzna, silny, brzydki, o dużej twarzy, cienkich włosach i grubej skórze.

— Ty, Hede — powiedział — przychodzę, żeby poważnie z tobą pomówić.

— Spotkało cię coś przykrego?

— O nie, nie mnie — odparł tamten — chodzi o ciebie. — Na chwilę zamilkł i spuścił wzrok. — Cholera, niemiło jest o tym mówić.

— To nie mów! — rzucił Hede. Chciało mu się śmiać z tej uroczystej powagi.

— No właśnie już nie mogę — odezwał się gość. — Dawno miałem to zrobić, ale widzisz, jakoś mi nie wypada. Nie mogę odgonić myśli, że będziesz potem mówił do siebie: „Ten Gustav Ålin, syn moich dzierżawców, taki się zrobił panisko, że będzie mnie teraz pouczał”.

— Daj spokój, Ålin — wtrącił Hede — wcale tak nie myślę. Toż i mój dziad był z chłopów.

— No, ale dziś o tym nikt nie pamięta — powiedział Ålin. Siedział naprzeciwko Hedego i ciężko wzdychał (z każdą chwilą jego chłopska natura coraz bardziej mu dośkwierała), jakby miało mu to pomóc wybrnąć z zakłopotania. — Wiesz, jak sobie myślę o różnicy między twoją rodziną a moją, to uważam, że winien jestem milczeć, ale gdy przypominę sobie, że to twój ojciec pomógł mi kiedyś, bym dziś mógł studiować, to pewnie słusznie, żebym powiedział.

Hede rzucił mu piękne spojrzenie.

— Mów zatem, żebyś się pozbył tego zmartwienia!

— No więc słyszałem — zaczęła Ålin — jak mówią, że nic nie robisz. Mówią, że nawet książki nie otworzyłeś przez te cztery semestry, coś je spędził w akademii. Nie robisz nic, tylko całymi dniami wygrzywasz na skrzypcach. A mnie trudno w to nie uwierzyć; w szkole w Falun² nie chciałeś robić nic innego, choć wówczas musiałeś pracować.

Hede zeszytniał na krześle. Ålin miał coraz bardziej nieszczęśliwą minę, ciągnął powoli, choć zdecydowanie:

— Z pewnością myślisz, że kto ma na własność taki majątek jak Munkhyttan³, po-

Dom, Upadek, Bieda,
Pieniądz, Matka

¹Uppsala — szwedzkie miasto, położone w historycznej prowincji Uppland. [przypis edytorski]

²Falun — szwedzkie miasto i gmina, położone w regionie Dalarna. [przypis edytorski]

winien móc robić, na co ma ochotę, pracować, jeśli chce, a jeśli nie, odpuścić. Dostanie dyplom, to dobrze. Nie dostanie dyplomu, to niemal równie dobrze; bo i tak nie chcesz być nikim jak tylko nadzorcą, przez całe życie chcesz mieszkać w Munkhyttan. I ja rozumie, że w ten sposób myślisz.

Hede milczał, a Ålin widział, jak kolegę otacza mur dostojności, ten sam, który w jego oczach otaczał ojca Hedego, radcę, i matkę, radczynię.

— Sprawy mają się jednak tak, że Munkhyttan nie jest już tym, czym było dawniej, kiedy ruda żelaza przynosiła zyski — podjął ostrożnie. — I o tym radca dobrze wiedział, dlatego przed śmiercią postanowił posłać cię na studia. Radczyni też o tym wie, biedaczka, a z nią cała wieś. Jedynym, który nic nie wie, jesteś ty, Hede.

— Chcesz powiedzieć — Hede trochę się zirytował — że nie wiem o nieużyteczności kopalni?

— Ach, nie — odparł Ålin — to wiesz z pewnością, ale widzisz, nie domyślasz się nawet, że Munkhyttan jest zrujnowane. Pomyśl rozsądnie, a pojmiesz, że w zachodnich dolinach nie da się żyć z samego rolnictwa. Ech, nie wiem, dlaczego radczyni trzyma to w tajemnicy. No, ale ona siedzi na całości spadku, nie musi pytać o twoją opinię. W każdym razie, w naszej okolicy powszechnie wiadomo, że klepie biedę. Mówią, że chodzi po ludziach i pożycza pieniądze. Pewnie nie chciała cię martwić, pomyślała raczej, że utrzyma to wszystko, póki nie wrócisz z dyplomem. Nie chce sprzedać posiadłości, póki nie ukończysz studiów i się nie ustatkujesz.

Hede wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Wtem zatrzymał się przed Ålinem.

— Człowieku, siedzisz tu i wmawiasz mi głupoty. Jesteśmy przecież bogaci.

— Dobrze wiem, że w naszych stronach wciąż mają was za panów — odezwał się Ålin. — Ale rozumiesz chyba, że pieniędzy nie starczy, jeśli się tylko wydaje, a nic nie zarabia. Inaczej było, jak mieliście kopalnię.

Hede znów usiadł.

— Matka powinna była mi o tym powiedzieć. Jestem ci wdzięczny, ale wystraszyły cię tylko jakieś głupie plotki.

— Domyśliłem się, że o niczym nie wiesz — ciągnął uparcie Ålin. — Radczyni w Munkhyttan oszczędza i haruje, żeby ci posłać pieniądze do Uppsali i żeby podczas twoich wizyt w domu, między semestrami, było miło i wesoło. A ty w tym czasie nic nie robisz, bo nie masz pojęcia, że coś ci zagraża. Nie mogłem już dłużej patrzeć, jak się nawzajem oszukujecie. Jasnie pani sądziła, że się uczysz, a tyś mniemał, że ona jest bogata. Nie mogę pozwolić, żebyś zniszczył swą przyszłość przez to, że o niczym nie wiesz.

Przez chwilę Hede siedział zamyślony. Potem wstał i podając Ålinowi rękę, smutno się uśmiechnął.

— Teraz rozumiem, żeś powiedział prawdę, choć *nie chcę* w nią wierzyć. Dziękuję!

Ålin uściśnął mu dłoń, promieniejąc z zadowolenia.

— Rozumiesz chyba, Hede, że nie wszystko stracone; wystarczy, że będziesz pracował. Z twoją głową możesz ukończyć nauki w siedem, osiem semestrów.

Ålin wstał i ruszył ku drzwiom, choć nieco niepewnie. Nim dotarł do progu, odwrócił się.

— Miałem też inną sprawę — powiedział. Znów był nieśmiały. — Chciałem cię prosić, byś pożyczył mi skrzypce, póki nie zaczniesz się uczyć.

— Pożyczyć skrzypce?

— Tak, owinę je jedwabiem, zamknę w futerale i wyniosę, inaczej nie weźmiesz się do roboty. Ledwie wyjdę za drzwi, jak zaczniesz znowu grać. Przywykłeś do tego, nie będziesz mógł się powstrzymać, jeśli zostaną u ciebie. Tego się nie przewycięży, jeśli ktoś nie pomoże. To jest zbyt silne.

Hede zaoponował.

— To szaleństwo! — powiedział.

— O nie, żadne szaleństwo. Wiesz, żeś odziedziczył to po radcy, muzykowanie macie we krwi. Od kiedy stałeś się sam sobie panem w Uppsali, nie robisz nic innego. Miesz-

³Munkhyttan — w Szwecji znajduje się obecnie rezerwat przyrody o tej nazwie, trudno jednak stwierdzić, czy można utożsamić to miejsce z opisywanym w powieści majątkiem. [przypis edytorski]

kasz z dala od miasta tylko po to, by nikomu nie wadzić muzyką. Sam sobie w tym nie pomożesz. Oddaj mi skrzypce!

— Owszem, kiedyś — zaczął Hede — nie mogłem się powstrzymać od grania. Lecz teraz chodzi o Munkhyttan. Bardziej kocham swój dom niż te skrzypce.

Ålin uparcie prosił o instrument.

— W czym to pomoże? — dopytywał Hede. — Jeśli zechcę zagrać, nie muszę daleko szukać, by pożyczyć czyjeś skrzypce.

— Rozumiem — odparł Ålin — lecz nie wydaje mi się, żeby obce skrzypce specjalnie tu zagrażały. To te stare, z Włoch, są dla ciebie zgubą. Poza tym proponuję, żebyś się tu zamknął przez najbliższe dni. Tylko na początek.

Prosił i prosił, lecz Hede się opierał. Nie miał zamiaru poddać się czemuś tak idiotycznemu jak areszt we własnym pokoju. Ålin zaczerwienił się ze złości.

— Zabieram ze sobą skrzypce — powiedział — inaczej na nic się to wszystko zda. — Mówił z zażartym gniewem. — Nie chciałem o tym wspominać, ale wiem, że nie chodzi tylko o Munkhyttan. Zeszłej wiosny widziałem na balu doktorskim dziewczynę, o której mówili, żeś się jej oświadczył. Nie zwykłem tańczyć, ale z przyjemnością patrzyłem, jak ona frunie w tańcu i błyszczy niczym polny kwiatek. A gdym usłyszał, że jest z tobą zaręczona, zrobiło mi się jej żal.

— Naprawdę?

— No tak, wiedziałem bowiem, że do niczego nie dojdiesz, jeśli dalej będziesz postępował tak jak dotychczas. Poprzysiągłem sobie, że dziewczę nie będzie przez całe życie czekać na kogoś, kto nigdy nie nadejdzie. Nie będzie usychać z tęsknoty za tobą. Nie chcę jej spotkać za kilka lat z zasmuconą twarzą i zmarszczkami przy ustach...

Tu przerwał. Spojrzenie Hedego stało się osobliwie badawcze.

Ale Gunnar Hede już zrozumiał, że Ålinowi spodobała się jego narzeczona. Głęboko go poruszyło, że mimo to przyjaciel chciał go ratować z niedoli — ugiął się pod wpływem emocji i oddał mu futerał.

Po wyjściu Ålina Hede przez całą godzinę rozpaczliwie czytał, lecz potem odrzucił książkę.

Cóż mu z tego czytania! Dyplom zdobędzie za trzy, cztery lata, a kto go zapewni, że w tym czasie majątek nie zostanie sprzedany?

Niemal z przerażeniem poczuł, jak bardzo kocha to stare miejsce. Jakby go ktoś zaczął rować. Każdy pokój, każde drzewo stanęło mu przed oczami. Nie może mu ich zabraknąć, jeśli ma być szczęśliwy.

I on ma spokojnie siedzieć nad książką, kiedy ktoś mu to wszystko odbiera?

Coraz bardziej się niepokoił, krew pulsowała mu w skroniach jak w gorączce. Był zdesperowany, że nie może chwycić za skrzypce i ukoić rozpacz graniem.

— Boże — wykrzyknął — zwiariuję przez tego Ålina. Najpierw zawiadamia mnie o takiej sprawie, potem zabiera mi skrzypce! Taki człowiek jak ja musi czuć smyczek pod palcami tak w smutku, jak i w radości. Muszę coś zrobić, muszę znaleźć pieniądze, ale w głowie mam pustkę. Bez skrzypiec nie umiem myśleć.

Hede wściekał się na to siedzenie w zamknięciu, skazany na książki. To obłąd ślęczyć tak i z wolna uczyć się do egzaminu, kiedy potrzeba pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy.

Nie mógł znieść świadomości, że jest zamknięty. Był wściekły na Ålina, który wymyślił to szaleństwo; bał się, że gdy tamten wróci, zdolny będzie go pobić.

Pewnie, że by grał, gdyby miał tu skrzypce — właśnie tego najbardziej potrzebował. Krew gotowała się w nim tak, że poczuł zbliżający się obłąd.

I kiedy tak Hede tęsknił za skrzypcami, na podwórku usłyszał wędrownego grajka. Był to ślepy starzec, fałszował i grał bez wycucia, ale Hede tak bardzo się wzruszył, usłyszawszy skrzypce właśnie w tej chwili, że oczy zasły mu łzami i złożył dłonie.

Po chwili otworzył okno i zszedł na dół, uczepiwszy się dzikiego wina. Nie robił sobie wyrzutów, że porzucił pracę. Uznał, że skrzypce zjawiły się pod jego domem tylko po to, by go pocieszyć w niedoli.

Nigdy wcześniej Hede o nic nie prosił tak czule, jak teraz ślepego o pożyczanie skrzypiec. Przez cały czas ścisnął czapkę w dłoni, choć dziadek niczego przecież nie widział.

Nie rozumiał, czego od niego chciał. Odwrócił się do dziewczynki, która go prowadziła. Hede uklonił się ubogiej panience i powtórzył prośbę. Popatrzyła na niego jak ktoś,

Spotkanie, Wzrok

kogo oczy służą dwóm osobom. Spojrzenie dużych, szarych oczu rzuciła tak ostre, że Hede poczuł, jak w niego trafia: już było przy szyi, sprawdzało, czy kołnierzyk świeżo wyprasowany, czy marynarka czysta, czy buty wypolerowane.

Hede nigdy dotąd nie przeszedł takich oględzin. Był pewny, że te oczy go odrzuca.

Lecz tak się nie stało. Dziewczyna uśmiechnęła się w osobliwy sposób. Jej twarz była tak poważna, że gdy się teraz rozpromieniła, miało się wrażenie, że po raz pierwszy i jedyny jest zadowolona. I teraz jeden z tych rzadkich uśmiechów wślizgnął się na jej usta.

Wzięła skrzypce od dziadka i podała Hedemu.

— To teraz będzie walc z *Wolnego strzelca*⁴ — powiedziała.

Dziwne wydało się Hedemu, że musi grać walca akurat w tej chwili, lecz tak naprawdę było mu wszystko jedno, co zagra — aby tylko potrzymać w dłoni smyczek.

Niczego innego nie potrzebował. Skrzypce natychmiast go pocieszyły. Mówiły do niego słabym, ochryplym tonem: „To tylko skrzypki starego biedaka, a jednak niosę ślepcowi otuchę i pomoc. Jestem światłem, kolorem, jasnością jego życia. To ja go pocieszam w nędzy, starości, ślepcie”.

Hede poczuł, jak potworny smutek — ten, co zagłuszył mu nadzieję — zaczął ustępować. „Tyś jest młody, tyś silny”, powiedziały skrzypce. „Potrafisz walczyć. Możesz zatrzymać to, co chce ci się wymknąć. Czemuś przybity i zasmucony?”

Hede grał ze spuszczonego wzrokiem. Teraz podniósł głowę i spojrzał na tych, co stali dookoła. Była to gromadka dzieci i ludzie z ulicy; przyszedli na podwórko, by posłuchać muzyki.

Ale nie pojawili się tu jedynie ze względu na melodię. Nie tylko ślepiec i dziewczyna należeli do trupy.

Naprzeciwko Hedego stała postać w trykocie i cekinach, z nagimi ramionami skrzyżowanymi na piersi. Ten ktoś wyglądał na starego i zmarnowanego, ale Hede pomyślał, że to czort, taką miał dużą klatkę i długie wąsiska. Obok jego żona — niska i tęga, niespecjalnie młoda, ale przeszczęśliwa w cekinach i spódnicach z tiulu.

Przy pierwszych taktach muzyki stali w bezruchu, licząc. I oto życzliwy uśmiech pojawił się na ich ustach, wzięli się za ręce i zatańczyli na dywaniku.

Hede zauważył, że podczas tej całej ekwilibrystyki, którą wykonali, żona stała w miejscu, a mąż sam pracował. Przeskakiwał nad nią, kręcił się dookoła i robił fikołki. Ona zajęta była posyłaniem widowni całusów.

Hede niewiele o nich myślał. Smyczek zaczął fruwać po strunach. Mówił mu, że w walce i władaniu tkwi radość. Przekonywał go, że ma szczęście, bo to decydujący moment. Hede wygrywał sobie odwagę i nadzieję, nie myśląc wiele o starych linoskoczkach.

Lecz nagle zauważył ich niepokój. Przestali się uśmiechać i posyłać publice całusy. Akrobata dziwacznie skakał, a żona zaczęła kołysać się w rytm walca.

Hede grał coraz żwawiej. Zarzucił *Wolnego strzelca* i zaintonował starą melodię fauna⁵, przy której na zabawach ludzie tracili rozum.

Para linoskoczków niemal straciła równowagę, wpadli w zdyszane zdumienie. Aż nadszedł moment, gdy dłużej nie mogli wytrzymać. Ruszyli do przodu, chwycili się za ramiona i zatańczyli walca na środku dywanu.

Jakżeż oni tańczyli, jak tańczyli! Dreptali drobnymi kroczkami, wirowali w małych, szybkich kółkach, nie opuszczając chodniczka. A twarze ich promieniały od tego uniesienia. W starych ludziach obudziły się młodzieńcze pragnienia, miłosna konfuzja.

Na widok ich tańca tłum wiwatował. Na twarzyczce poważnej przewodniczki ślepca pojawił się uśmiech, lecz Hede bardzo się zirytował.

Patrzcie no, do czego zdolne są jego skrzypce — potrafią porwać ludzi! Miał w rękach olbrzymią władzę. W każdej chwili mógł pościć swoje królestwo.

Wystarczy kilka lat studiów za granicą u jakiegoś mistrza i będzie mógł jeździć po świecie. Dzięki muzyce zdobędzie pieniądze, zaszczyty i sławę.

Hede uznał, że akrobaci przyszedli tu, by mu o tym powiedzieć. Oto jego droga, stoi przed nim jasna i otwarta.

⁴*Wolny strzelec* — opera w trzech aktach, skomponowana przez Carla von Webera (1786–1826). [przypis edytorski]

⁵*faun* a. *Faun* — w mitologii rzymskiej bóg płodności, pól i lasów, opiekun pasterzy. [przypis edytorski]

Powiedział sobie: „Chcę, chcę zostać muzykiem, muszę nim być. To coś innego niż nauka. Moimi skrzypcami potrafię zaczarować ludzi, mogę być bogaty”.

Hede przestał grać. Artyści natychmiast do niego podeszli, by go skomplementować.

Mężczyzna powiedział, że nazywa się Blomgren. To jego prawdziwe nazwisko, gdy występował, używał innego. On i żona pracowali w cyrku. Pani Blomgren, dawniej *miss*⁶ Viola, skakała na końskim grzbiecie. I nawet dzisiaj, choć opuścili cyrk, są artystami, pełnymi ognia artystami. Zresztą już to zobaczył. To dlatego nie potrafili oprzeć się jego skrzypcom.

Hede towarzyszył akrobatom przez parę godzin. Nie umiał rozstać się z instrumentem, podobał mu się zachwyt starych artystów nad ich profesją. Idąc tak, badał siebie. „Chcę sprawdzić, czy i we mnie jest ziarno artysty, chcę sprawdzić, czy mogę budzić zachwyt, czy dzieci i gawiedź pójdą za mną od domu do domu”.

I tak wędrowali między podwórkami. Pan Blomgren zarzucił na siebie stary, zniszczony płaszcz, a pani Blomgren okryła się brązową peleryną. Rozmawiali z Hedem.

Pan Blomgren niechętnie mówił o sławie, jaką oboje zdobyli, gdy należeli do prawdziwej trupy cyrkowej. Dyrektor zwolnił panią Blomgren pod pretekstem, że ma zbyt korpulentną figurę. Pan Blomgren nie został zwolniony, sam zrezygnował. Nikt chyba nie sądził, że będzie pracował dla dyrektora, który zwolnił jego żonę.

Pani Blomgren kochała sztukę — to dla niej mąż postanowił zostać wolnym artystą, by ona nadal mogła występować. Gdy na spektakle uliczne robiło się za zimno, grali w namiocie. Mieli bogaty repertuar: pantomina, magiczne sztuczki i żonglerka.

Cyrk ich odrzucił, powiedział pan Blomgren, ale nie sztuka. Oddali się sztuce, wierni jej aż do grobowej deski. Na zawsze, na zawsze artyści! Oto sentencja pana Blomgrena, jak również i pani Blomgren.

Hede słuchał w milczeniu. Myśli pędziły niespokojnie od pomysłu do pomysłu. Czasem wydarza się coś, co wygląda na symbol, znak, który należy odczytać. W tym, co mu się teraz przytrafiło, tkwił jakiś sens. Jeśli właściwie go zrozumie, doprowadzi go do podjęcia mądrej decyzji.

Pan Blomgren zwrócił uwagę studenta na drobną przewodniczkę ślepego. Czy widział kiedy takie oczy? Czy nie sądzi, że takie oczy muszą coś oznaczać? Czy można mieć takie oczy, nie będąc powołaną do wyższych celów?

Hede odwrócił się i spojrzał na bladą dziewczynkę. Tak, miała oczy jak gwiazdy na smutnej, nieco wychudzonej twarzy.

— Pan Bóg zawsze wie, co czyni — odezwała się pani Blomgren. — Nawet w tym, że pozwala panu Blomgrenowi występować na ulicy, jest jakiś sens. Ale jaki miał zamiar, dając dziewczynie takie oczy i uśmiech?

— Coś panu powiem — rzekł pan Blomgren. — Ona nie ma predyspozycji do sztuki. A z tymi oczami!

Hede podejrzewał, że nie mówią do niego, a tylko pouczają dziewczynę. Szła tuż za nimi, musiała słyszeć każde ich słowo.

— Nie ma więcej jak trzynaście lat, wcale nie za dużo, żeby się czegoś nauczyć; ale to niemożliwe, nie ma w niej krzty talentu. Proszę ją nauczyć szycia, panie studencie, jeśli nie chce pan tracić czasu, ale nie stania na głowie!

— Ten jej uśmiech obezwładnia ludzi — powiedział pan Blomgren. — Ten uśmiech sprawia, że dziewczyna wciąż dostaje propozycje od rodzin, które chcą ją adoptować. Mogłaby dorastać w zamożnym domu, gdyby zechciała porzucić swego dziadka. Ale na co jej ten uśmiech, przez który ludzie szaleją, jeśli za żadne skarby nie chce pokazać się ani na końskim grzbiecie, ani na trapezie?

— Znamy artystów — odezwała się pani Blomgren — którzy biorą dzieci z ulicy i przyuczają je do zawodu, kiedy sami już nie występują. Niejednemu udało się stworzyć gwiazdę, która zarabia dla nich ogromne pieniądze. Ale pan Blomgren i ja nigdy nie myślimy o gażach, chcieliśmy tylko zobaczyć Ingrid, jak skacze przez obręcz, podczas gdy cyrk huczy od oklasków. Byłoby to niczym nowe życie.

⁶miss (ang.) — panna. [przypis edytorski]

— Dlaczego trzymamy jej dziadka? — ciągnął pan Blomgren. — Czy jest artystą, który nas obchodzi? Moglibyśmy wziąć ze sobą byłego członka dworskiej kapeli. Ale kochamy dziewczynkę, nie umiemy bez niej żyć; trzymamy dziadka ze względu na nią.

— Czy to nie okrutne, że nie pozwala nam zrobić z siebie artystki? — spytała.

Hede się odwrócił. Mała przewodniczka ślepcy miała na twarzy wypisany ból pełen cierpliwości. Widział po niej, że dobrze wie: ten, co nie tańczy na linie, jest niezdatnym, nędznym stworzeniem.

W tej chwili wmaszerowali na nowe podwórko, lecz zanim zaczęto spektakl, Hede usiadł na odwróconej tacy i wygłosił kazanie.

Oto bronił biedną przewodniczkę ślepcy. Potępił pana i panią Blomgren, że chcieli wystawić ją przed wielką, okrutną publiką, która kochałaby ją i oklaskiwała do czasu, a gdy się zestarzeje i zmęczy, zostawiłaby ją na ulicy na pastwę losu, jesienną słotę i chłód. Nie, artystą jest ten, kto uszczęśliwia drugiego człowieka. Ingrid będzie miała oczy i uśmiech dla jednego, oszczędzi je dla tego jedyne, a on jej nie opuści, lecz podaruje jej bezpieczny dom do końca jej dni.

Gdy Hede przemawiał, do oczu napłynęły mu łzy. Bardziej mówił do siebie niż do gawiedzi. Nagle poczuł, jakie to potworne, gdy ciągną cię w świat, z dala od domowego spokoju.

I dojrzał, jak duże, gwiazdzone oczy dziewczynki zaświeciły. Jakby zrozumiała każde jego słowo. Zdało się, że znów chce jej się żyć.

Lecz pan i pani Blomgren spoważniali. A ściskając dłoń Hedego, obiecali, że już nigdy nie będą namawiać dziewczyny na karierę artystyczną. Będzie kroczyć tą drogą, którą sama wybierze. Wzruszył ich. Byli artystami, pełnymi ognia artystami, zrozumieli, co miał na myśli, gdy mówił o lojalności i miłości.

Po tym wszystkim Hede pożegnał się i wrócił do siebie. Już nie szukał tajemnego znaczenia w swojej przygodzie. W końcu nie było w tym innego sensu niż ten, że ma wybawić to biedne, smutne dziecko od zgryzoty — bowiem dziewczynka nie miała za grosz talentu!

ROZDZIAŁ DRUGI

Majątek Gunnara Hedego, Munkhyttan, znajdował się w ubogiej gminie leśnej, we wschodniej części Dalarny⁷. Był to duży teren na pustkowiu, którego większość zajmowała surowa przyroda: skaliste wzgórza i jeziora. Mieszkańcy nie mieliby z czego żyć, gdyby nie pozwolenie na handel obnośny po całym kraju. W okolicy tej roilo się od dawnych legend o biednych parobkach i wieśniaczkach, którzy ruszyli z workiem drobiazgów na plecach, a wrócili w złotej karocy ze skrzyniami pełnymi pieniędzy.

Jedną z najwspanialszych opowieści była ta o dziadku Hedego. Był on synem biednego grajka, dorastał ze skrzypkami i kiedy skończył siedemnaście lat, wyruszył w drogę z workiem na plecach. A gdziekolwiek się pojawił, do pomocy w handlu miał skrzypki; czułymi melodiami zachęcał ludzi do tańca i tak sprzedawał jedwabne chusty, grzebienie i igły. Targi schodziły na żartach i muzykowaniu. Szło mu tak dobrze, że w końcu mógł kupić Munkhyttan wraz z kopalnią i zastąpić znajdującego się na skraju nędzy gospodarza.

Tak został włodarzem i poślubił piękną córkę dawnego właściciela.

Potem starzy państwo — bo wciąż tak ich nazywano — myśleli tylko o tym, jak upiększyć swoje gospodarstwo. To oni przenieśli główne budynki na prześliczną wyspę, położoną blisko brzegu jeziora, wokół którego rozciągały się pola i kopalnie. Za ich czasów dobudowano piętro (chcieli mieć bowiem przestrzeń do przyjmowania gości), podobnie zewnętrzne schody o dwóch podejściach. Całą świerkową wysepkę obsadzili drzewami liściastymi, a w kamienistej ziemi utworzyli alejki, wybudowali altanki, chylące się nad jezioro niczym ptasie gniazda. Piękne francuskie róże, otaczające taras, holenderskie meble, francuskie skrzypce — wszystko to sprowadzili do domu. To także oni kazali wzniesć mur, który chronić miał sad przed północnym wiatrem, oni też założyli szklarnię z winoroślą.

⁷Dalarna — szwedzka kraina historyczna, a obecnie jeden z regionów administracyjnych. [przypis edytorski]

Starzy państwo byli radosnymi, życzliwymi ludźmi starej daty. Pani pragnęła uchodzić za nieco dostojną, lecz pan ani trochę. W całym tym luksusie, jaki go otaczał, chciał zawsze pamiętać, kim był dawniej — dlatego w gabinecie, gdzie pracował i przyjmował wizyty, nad pulpitem wisiał wór i domowej roboty czerwone skrzyпки.

Także po jego śmierci wór i skrzyпки pozostały w tym samym miejscu. Na ich widok syn i wnuk za każdym razem czuli wdzięczność. To te proste narzędzia stworzyły Munkhyttan, a Munkhyttan jest najlepszym miejscem na świecie.

Jak do tego doszło? Faktycznie było tak, że miejscu temu towarzyszyło życie dobre, przyjemne i beztroskie, ród Hede ukochał ten dom. Szczególnie Gunnar Hede był przywiązany do Munkhyttan. Mówiono nawet, iż niewłaściwie jest twierdzić, że posiada to gospodarstwo. Przeciwnie, owo pradawne miejsce w zachodniej Dalarnie posiadało Gunnara Hedego.

Gdyby nie stał się niewolnikiem wielkiego, starego budynku smaganego wiatrami, tych kilku akrów ziemi i lasu, tych przerośniętych jabłoni, kontynuowałby naukę lub — lepiej — wyjechał na studia muzyczne, co, zdaje się, było jego właściwym powołaniem. Lecz gdy przyjechał z Uppsali i zobaczył, jak mają się sprawy i że faktycznie należy sprzedać włości, o ile szybko nie zarobi dużych pieniędzy, porzucił wszelkie plany i postanowił wyruszyć z handlem obnośnym, jak uczynił jego dziadek.

Matka i narzeczona Hedego błagały, by raczej sprzedał dom niż żeby w ten sposób dlań się poświęcał, ale był nieugięty. Założył chłopskie odzienie, zakupił towary i ruszył po kraju jako wędrowny sprzedawca. Sądził, że w kilka lat handel przyniesie mu zarobek, którym spłaci długi i ocali majątek.

W kwestii gospodarstwa osiągnął nawet sukces dzięki swej przedsiębiorczości. Ale na siebie samego ściągnął potworne nieszczęście.

Gdy już tak rok chodził z workiem, wymyślił, że spróbuje zarobić dużą sumę za jednym zamachem. Wyruszył daleko na północ i kupił spore stado kóz, pewnie parę setek. I wszystkie te zwierzęta, wspólnie z przyjacielem, miał przeprowadzić na wielkie targowisko w Värmlandii⁸, gdzie za kozę płacili dwa razy tyle co na północy. Jeśli sprzeda wszystkie, zrobi wspaniały interes.

Był dopiero listopad, a ziemia czysta, kiedy Hede z przyjacielem wyruszyli ze stadem. Pierwszego dnia wszystko szło dobrze, lecz nazajutrz, gdy dotarli do wielkiego, dziesięciomilowego lasu, zaczął padać śnieg. Mocno śnieżyło i wiało. Wkrótce zwierzętom coraz trudniej było brnąć przez białe połacie. Kozy to odważne i wytrwałe stworzenia — długo pokonywały przeciwności, ale śnieżyca nie ustępowała przez kilka dni i nocy, nastał siarczasty mróz.

Hede robił wszystko, by uratować zwierzęta. Ale od kiedy zaczęło padać, nie znajdował dla nich pożywienia ani wody. Po całym dniu wędrówki przez głębokie śniegi zdarły skórę na nogach. Cierpiały, nie chciały ruszyć z miejsca. Pierwszą kozę, która padła na ścieżkę i nie chciała iść za stadem, Hede niósł na ramionach. Ale gdy położyła się druga i trzecia, nie mógł nieść wszystkich. Musiał odwrócić wzrok i iść przed siebie.

Być może wiecie, co znaczy dziesięciomilowy las. Ani jednego domostwa, żadnego schronienia przez kolejne mile — tylko las. Wysokie sosny, twarda kora i gałęzie osadzone daleko w górze, nie żaden młodniak o miękkich, delikatnych gałązkach, którymi mogłyby karmić się kozy. Gdyby nie śnieg, przeszliby las w kilka dni, ale w tych warunkach nie dało się zrobić ani kroku. Wszystkie kozy tam pozostały, a i ludzie omal nie poginęli wraz z nimi.

Przez cały ten czas nie spotkali żywej duszy. Znikąd pomocy.

Hede próbował odgarniać śnieg, by wygrzebać mech dla kóz, ale bez przerwy padało, a krucho gałązki przymarzły do ziemi. Jakże miał zdobyć pożywienie dla dwóch setek zwierząt?

Dzielnie wszystko znosił, dopóki kozy nie zaczęły się poddawać. Pierwszego dnia były radosną, żywą i zadziorną gromadą. Niezłe się namęczył, żeby podążyły za stadem i żeby się nie pobodły na śmierć. Ale teraz jakby zrozumiały, że nic ich nie uratuje — ich natura uległa zmianie, stały się wręcz apatyczne. Wszystkie zaczęły meczeć i lamentować, wcale

⁸Värmlandia a. Värmland, a. Wermelandia — historyczna prowincja w środkowej Szwecji. [przypis edytorski]

Handel, Praca

Interes, Zwierzęta

Zwierzęta, Śmierć,
Szaleństwo, Głód

nie cicho i wysokim głosem, jak to zazwyczaj kozy, lecz z mocą i coraz głośniejszym, im większa była ich niedola. I gdy Hede usłyszał te jęki, zaczął wierzyć, że traci zmysły.

Las był dziki i opuszczony, znikąd pomocy. Jedno po drugim zwierzęta padały na ziemię. Zawieja przykrywała je śniegiem. Gdy Hede się odwracał i widział rząd zasp przy drodze — a każda z nich skrywała zwierzę, a z każdej wystawały rogi i kopyta — kręciło mu się w głowie.

Rzucił się do kóz, które wpadły w zasy, wywijał wtką i bił je. Był to jedyny sposób, by je ocalić, ale nie chciały się ruszać. Chwytał je więc za rogi i ciągnął za sobą. Pozwalały się tarmosić, ale żadna z własnej woli nie zrobiła kroku. Kiedy puszczał ich rogi, lizały mu ręce, jakby błagając o pomoc. Gdy tylko do nich podszedł, lizały mu ręce.

Wszystko to tak potwornie odbiło się na Hedem, że czuł zbliżający się obłąd.

Trudno powiedzieć, czy sprawy poszłyby tak źle (kiedy już wszystko, co przeżył w lesie, się skończyło), gdyby nie pojechał do tej, którą tak kochał. Nie do matki, lecz do narzeczonej. Wyobraził sobie, że natychmiast musi ją powiadomić, iż stracił majątek i przez wiele lat nie będzie się mógł ożenić. Lecz jechał pewnie także po to, by usłyszeć ją, jak mówi, że kocha go niezmiennie mimo tej niedoli. Sądził, że ona potrafi odpędzić jego pamięć o tym, co przeżył w dziesięciomilowym lesie.

I może nawet by się na to zdobyła, ale nie chciała. Już wtedy, gdy wyruszył z workiem i wyglądał jak wieśniak, nie była temu rada. Trudno jej było go lubić jak dawniej. Gdy usłyszała, że jeszcze przez kilka lat będzie tak żył, powiedziała, że dłużej czekać nie może. I wtedy Hede prawie całkiem stracił rozum.

Lecz tak do końca nie oszalał. Miał na tyle rozsądku, by nadal prowadzić swój handel. Robił nawet lepsze interesy niż inni, gdyż ludzie lubili się z niego naśmiewać, do każdej chaty chętnie zapraszali. Drwili i szydzili, ale to działało na jego korzyść — tak bardzo chciał być bogaty.

I w ciągu paru lat zarobił tyle, by spłacić długi i żyć bez troski w swojej posiadłości. Lecz nie rozumiał tego, w poniżeniu chodził od chaty do chaty i nawet nie myślał, że przecież jest panem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Daleko na wschodzie Värmlandii, tuż przy granicy z Dalarną, leżała gmina Råglanda⁹, z dużą plebanią, lecz tylko małym, skromnym wikariatem. Ludzie, którzy tam żyli, wprawdzie byli ubodzy, ale tak miłośni, że wzięli pod opiekę dziecko. Dziewczynka o imieniu Ingrid, gdy zamieszkała z nimi, miała trzynaście lat.

Wikariusz¹⁰ zobaczył ją na jarmarku, płaczącą przy namiocie linoskoczków. Przystanął i spytał o powód jej smutku. Dowiedział się, że umarł jej niewidomy dziadek, więc nie ma już nikogo bliskiego. Teraz wędruje z parą linoskoczków; są dla niej dobrzy, ale płacze, bo była głupia i nigdy nie nauczyła się tańczyć na linie, żeby pomóc im w zarabianiu pieniędzy.

Było w tym dziecku coś dogłębnie smutnego, co wzruszyło i ujęło kapłana. Powiedział sobie, że pod żadnym pozorem nie może zostawić małego stworzenia na pastwę włóczędów. Wszedł do namiotu, gdzie spotkał pana i panią Blomgren, i zaproponował, że weźmie dziecko do domu. Starzy artyści cyrkowi zaczęli ronić łzy, mówiąc, że choć dziewczynka nie nadaje się do uprawiania sztuki cyrkowej, chcieliby ją zatrzymać. Sądzili jednak, że będzie szczęśliwsza w prawdziwym domu, u ludzi, którzy przez cały rok mieszkają w jednym miejscu, dlatego zostawią ją u wikariusza, jeśli ten tylko obieca, że Ingrid będzie dla niego jak własna córka.

Obiecał im to i od tamtej pory dziewczynka żyła na plebanii. Była spokojnym i łagodnym dzieckiem, pełnym życzliwości i troski o wszystkich dokoła. Na początku przybrani rodzice bardzo ją kochali, lecz gdy dorosła, rozwinęło się w niej silne pragnienie oddawania się marzeniom i fantazjom. Otworzyło się przed nią królestwo wizji i rojeń; zwodziło ją z taką siłą, że w środku dnia porzuciła pracę, by zanurzyć się w jakimś marzeniu. Nie

Miłość, Rozstanie,
Szaleństwo

Sierota

⁹Råglanda — historyczna gmina szwedzka, położona w Värmlandii. [przypis edytorski]

¹⁰wikariusz — w kościele protestanckim ksiądz pomocniczy lub duchowny przygotowujący się do ordynacji pastorskiej. [przypis edytorski]

podobalo się to żonie wikariusza, gwałtownej i srogiej. Skarżyła się na lenistwo i powolność dziewczyny; dręczyła ją tak, że obudziła w niej strach i poczucie krzywdy.

Gdy Ingrid skończyła dziewiętnaście lat, ciężko zachorowała. Nie było wiadomo, co to za choroba, działo się to bowiem na tyle dawno, że w całej Råglandzie nie było ani jednego lekarza. Nie wyglądało to dobrze. Niebawem uznano, iż jest tak chora, że musi umrzeć.

Choroba

Ona z kolei tylko się modliła, by Pan Bóg nie kazał jej już dłużej żyć. Tak bardzo chciała umrzeć.

Śmierć, Pozory

I stało się tak, jakby Pan Bóg chciał sprawdzić, czy dziewczyna myśli poważnie. Pewnej nocy poczuła, że całe jej ciało robi się sztywne i zimne; zapadła w głęboki sen. „To musi być śmierć”, powiedziała do siebie.

Tajemnicze było jednak to, że nie straciła świadomości. Wiedziała, że leży martwa, że owinęli ją w całun i włożyli do trumny. Ale nie czuła lęku przed byciem pogrzebaną, choć przecież nadal żyła. Myślała jedynie o tym, jak bardzo jest szczęśliwa, że mogła umrzeć i opuścić ziemski padół.

Obawiała się tylko jednego: że odkryją, iż jej śmierć była pozorna, i nie pochowają jej. Życie musiało być dla niej ciężarem, skoro w ogóle nie bała się śmierci.

Lecz nikt nie zauważył, że żyje. Zawieźli ją do kościoła, wynieśli na cmentarz i włożyli do grobu.

Jednak nie zasypali jej ziemią, bowiem w Råglandzie panował obyczaj, zgodnie z którym zmarłych chowano w niedzielny poranek, po nabożeństwie. Procesja ruszyła do kościoła, zostawiwszy trumnę w otwartym grobie. Tuż po mszy zamierzano tu wrócić i pomóc grabarzowi w sypaniu ziemi.

Obyczaje

Dziewczyna wiedziała o wszystkim, co się działo, nie czuła jednak strachu. Nawet gdyby zechciała, nie mogłaby się poruszyć, by pokazać, że żyje — leżała zatem bez ruchu. Nadal była szczęśliwa, że jest niemal martwa.

Faktycznie nie dało się powiedzieć, że żyje. Była nieprzytomna, nie miała też normalnej świadomości. Żyła jedynie ta część jej duszy, która nocą śni.

Nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, jakie to będzie potworne obudzić się w zasypanym grobie. Nie panowała już nad umysłem, niczym osoba zatopiona całkowicie w marzeniach.

„Ciekawam”, zastanawiała się, „czy jest coś na świecie, co przywróciłoby mi chęć życia”.

Gdy tylko tak pomyślała, wydało jej się, że wieko trumny i całun¹¹, leżący na jej twarzy, stają się przezroczyste. Ujrzała przed sobą pieniądze, piękne stroje i cudne ogrody pełne dorodnych owoców.

— Nie, nie obchodzi mnie żadna z tych rzeczy — rzekła, zamykając oczy na wszystkie te wspaniałości.

Gdy znów je otworzyła, skarby zniknęły, a na ich miejscu ujrzała całkiem wyraźnie aniołka, siedzącego na brzegu grobu.

Anioł

— Dzień dobry, boski aniołku — odezwała się.

— Dzień dobry, Ingrid! — odpowiedział anioł. — Kiedy tak leżysz, nie mając nic do roboty, pomówię z tobą o minionych czasach.

Ingrid rozumiała każde słowo anioła, lecz jego głos nie przypominał niczego, co wcześniej słyszała. Podobny był do dźwięków strun zamienionych w słowa. Nie była to pieśń, lecz muzyka skrzypiec albo harfy.

— Ingrid — rzekł anioł — pamiętasz, kiedy żył jeszcze twój dziadek, spotkałaś młodego studenta, który przez cały dzień chodził z wami po podwórkach, grając na diadkowych skrzypkach?

Twarz prawie martwej dziewczyny rozjaśnił uśmiech.

— Sądzisz, że zapomniałam? Od tego czasu nie było dnia, bym o nim nie myślała.

— I nie było nocy, byś o nim nie śniła?

— Tak, nie było nocy, bym o nim nie śniła.

— I chcesz umrzeć, choć tak dobrze go pamiętasz? — zapytał anioł. — Wówczas go nigdy więcej nie ujrysz.

Gdy to powiedział, zdało jej się, że czuje urok miłości, ale i to jej nie zachęciło.

¹¹całun — tkanina służąca do przykrywania zwłok. [przypis edytorski]

— Nie, nie — odrzekła — boję się życia, wolę umrzeć.

Wtedy anioł pomachał dłonią, a Ingrid ujrzała wielką, jałową pustynię. Nie było tam drzew, tylko bezpłodna, sucha, rozgrzana ziemia, która ciągnęła się w nieskończoność. To tu, to tam na piachu leżało coś, co na pierwszy rzut oka przypominało rozrzucone skały. Lecz gdy się uważniej przyjrzała, spostrzegła, że były to zwierzęta — olbrzymie, żywe potwory o ostrych pazurach i wielkich zębiskach, czyhały na ofiarę. A pośród nich wędrował student; szedł beztrząsco, nie przeczuwając, że w bestiach dookoła tli się życie.

— Ależ musisz go ostrzec — rzekła Ingrid do anioła z niepowstrzymanym lękiem — powiedz mu, że one żyją, że musi uważać!

— Mnie nie wolno do niego mówić — odparł anioł swym dźwięcznym głosem — sama musisz go ostrzec.

Na wpół martwa dziewczyna poczuła z przerażeniem, że leży nieruchoma i nie może popędzić, by ratować studenta. Kolejne wysiłki, żeby wstać, były bezskuteczne; śmiertelna niemoc całkowicie ją obezwładniła. Lecz oto nagle, nareszcie! Poczuła, jak serce zaczyna jej bić, krew spływa na powrót do żył, śmiertelna sztywność rozpuszcza się w ciele. Wstała i szybko ruszyła w jego stronę...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nic nie jest tak pewne, jak to, że słońce ukochało otwarte przestrzenie za murami wiejskich kościołów. Czyż nikt nie zauważył, że nigdzie nie spotyka się tyle słonecznej światłości, co przed bielonym kościółkiem podczas nabożeństwa? Nigdzie indziej promienie nie plotą tak gęstej siatki, nigdzie indziej powietrze nie ma w sobie tyle pokornej błogości. Tam słońce stoi na straży, by ludzie nie przystawali na kościelnym wzgórzu na pogaduchy. Chce, by każdy godnie zasiadł w kościelnej ławie i słuchał kazania — dlatego bogactwo promieni rzuca za kościelnym murem.

Nie można być pewnym, że słońce czuwa przed kościółkami w każdą niedzielę, lecz tego przedpołudnia, kiedy na wpół martwa dziewczyna wstała z grobu na cmentarzu w Råglandzie, niewątpliwie rozlało promieniste ciepło na placyku przed kaplicą. Krzemienie połyskujące w śladach kół wyglądały, jakby miały się zaraz zapalić. Wydeptana, krótka trawa chrzęściła jak zeschnięty mech, a żółte mleczki na długich łodyżkach, zdobiące trawnik, rozwinęły się i puchły niczym bujne, wielkie astry.

Drogą szedł Dalarczyk, taki, co to po wsiach sprzedaje brzytwy i nożyce. Był ubrany w długie, białe futro z owcy, a na plecach taszczył duży, czarny wór ze skóry. Wiele godzin wędrował tak wyposażony, nie odczuwając upału, lecz gdy opuścił szosę i dotarł na plac przed kościołem, nie minęła minuta, a już przystanął i zdjął kapelusz, by otrzeć pot z twarzy.

Gdy tak stał z gołą głową, robił wrażenie pięknego i mądrego. Miał wysokie, białe czoło, głęboką łwią zmarszczkę między brwiami, kształtne, wąskie usta. Przedzielone pośrodku i przycięte na karku włosy zasłaniały uszy i kręciły się na końcówkach. Mężczyzna był wysoki i silny, ale nie tęgi — pod każdym względem miał piękną posturę. Jedyną jego wadą było niespokojne spojrzenie; gałki oczne uciekały mu w kąciki, jakby chciały się schować. Wokół warg uwidaczniały się rysy na wpół obłąkane albo wykrzywione; kryło się w nich coś idiotycznego, wiotkiego, co nie pasowało to twarzy — jakby do niej nie należało.

Portret

Nie mógł być całkiem normalny, skoro w niedzielę dźwigał swój worek. Człowiek przy zdrowych zmysłach dobrze wie, że to niepotrzebne, bo i tak niczego nie sprzeda. Żaden z Dalarczyków, wędrownych sprzedawców, nie garbił pleców w niedzielę; wolni i wyprostowani szli — jak reszta ludzi — do domu Boga.

Biedaczysko nie miał pojęcia, że jest święto, do chwili, gdy stanąwszy w słońcu przed kościołem, usłyszał, jak śpiewają psalm. Był na tyle rozumny, że natychmiast pojął, iż tego dnia nic nie uhandluje. Umysł zaczął mu ciężko pracować, gdy rozmyślał, co począć z tym wolnym czasem.

Przez długą chwilę stał i patrzył przed siebie. W zwykłe dni radził sobie ze wszystkim. Nietrudno mu było przez cały tydzień wędrować od domu do domu i robić interesy. A do niedzieli nie umiał przywyknąć. Za każdym razem przychodziła jak wielkie, niespodziewane zmartwienie.

Oczy znieruchomiały, żyły na czole nabrzmiały.

Pierwsze, co przyszło mu na myśl, to żeby wejść do kościoła i wsłuchać się w pieśń. Ten pomysł odrzucił. Chętnie posłuchałby śpiewu, lecz nie miał odwagi wejść do kaplicy. Nie bał się ludzi, ale w niektórych kościołach znajdowały się tak dziwaczne i groźne obrazy, przedstawiające potwory, że nawet nie śmiał sobie ich wyobrazić.

Wreszcie doszedł do wniosku, że skoro jest tu kościół, musi być też cmentarz. A jeśli mógł pójść na cmentarz, był uratowany. Nic innego nie stanowiło dlań lepszego miejsca. Gdy tylko z drogi zobaczył cmentarz, przysiadł tam na chwilę, choćby to było w środku tygodnia wypełnionego pracą.

Kiedy miał już ruszyć w stronę cmentarza, pojawiła się kolejna trudność. Miejsce pochówku w Råglandzie nie leży bowiem tuż za kościołem, wzniesionym na skalnym wzgórzu, lecz na łące, kawałek za parafialnym budynkiem. Nie było jak dojść do furtki cmentarza — tylko po ścieżce, wzdłuż której uwiązano konie wiernych.

Wszystkie stały ze łbami zanurzonymi w workach siana i owsa i żyły tak, że pasza zgrzytała im w zębach. Nie było mowy, żeby zrobiły chłopu co złego, lecz on miał własne zdanie na temat niebezpieczeństwa, jakie wiąże się z przejściem obok tak długiego rzędu zwierząt.

Spróbował raz i drugi, ale odwaga go opuściła i musiał zawrócić. Nie bał się, że konie ugryzą go albo kopną. Wystarczy, że stoją tak blisko, iż go zobaczą. Wystarczy, że potrząsną uszami i poskrobia kopytem o ziemię.

Wreszcie nadszedł moment, gdy wszystkie spuściły łby, jakby ścigały się, który zje szybciej. Wtedy ruszył pomiędzy nimi. Przytrzymał futro, by nie powiewało i go nie zdradziło; szedł na palcach, najciszej jak potrafił. Gdy jakiś koń uniósł powiekę i na niego spojrzął, Dalarczyk od razu stawał w ukłonie. Chciał być uprzejmy w tej sytuacji, ale zwierzęta muszą pojmować, że nie da się kłaniać z worem żelastwa na plecach. Nie pozostało mu nic innego jak dygać.

Westchnął bardzo ciężko, bo lękać się — jak on — czworonożnych stworzeń, było na co dzień bardzo kłopotliwe. Tak naprawdę nie bał się innych zwierząt poza kozami; koni, psów i kotów nie bałby się w ogóle, gdyby miał pewność, że nie są to zaklęte kozy. A nigdy tej pewności nie miał. Zatem nawet jemu zdawało się szaleństwem, że bał się każdego zwierzęcia na czterech nogach.

Na nic zdało się myślenie, jak bardzo jest silny i jak wszystkie te wiejskie konie są całkiem niegroźne. Tak nie potrafi myśleć ktoś z duszą przesiąkniętą trwogą. Strach to niełatwa kwestia, ciężko jest temu, w kim się umościł.

Niezwykłe to było, że minął rząd koni. Ostatni kawałek pokonał dwoma długimi susami, a gdy już dotarł na cmentarz i zamknął za sobą żelazną furtkę, przystanął i uniósł ku koniom pięść.

— Nieszczęsne, przeklęte kozły!

Robił tak z każdym zwierzęciem, nie umiał inaczej, jak nazwać je kozłami. Nie było to mądre, bo zyskał przez to przydomek, którego wcale sobie nie życzył. Wszyscy napotkani wołali na niego „Kozioł”. A on nie chciał być tak nazywany. Chciał, by zwracano się doń jego właściwym imieniem, ale w tej okolicy nikt go nie znał.

Przez chwilę stał przy ogrodzeniu i cieszył się, że uszedł cało przed końmi, a potem ruszył w głąb cmentarza. Przed każdym krzyżem czy kamieniem zatrzymywał się i dygał. Lecz tym razem nie z lęku, tylko z zadowolenia na widok starych, drogich znajomych. Mina mu złagodniała. Te same krzyże, te same kamienie, które tyle razy odwiedzał już w życiu. Nic się nie zmieniły! Jak dobrze je rozpoznawał! Każdemu mówił „dzień dobry”.

Uwielbiał cmentarze! Zwierzęta się tu nie pasły, a ludzie nie żartowali. Najlepiej, jeśli był tam sam, jak teraz, ale nawet gdy natrafił na ludzi, nie wadzili mu bardzo. Znał wprawdzie wiele urokliwych łąk i pastwisk, które jeszcze bardziej mu się podobały, ale tam nigdy nie miał spokoju. W żaden sposób nie można ich było porównać z cmentarzem. Cmentarz był lepszy od lasu, gdyż leśna pustka go przerażała. Tu panował spokój niczym w głębi lasu, a jednak nie brakowało mu towarzystwa — pod każdym kamieniem i każdą kępą trawy spał człowiek. Dość, by nie czuł się sam i nieswojo.

Od razu skierował kroki w stronę świeżo wykopanego grobu. Poszedł tam z powodu kilku drzew rzucających cień, ale też dlatego, że lubił towarzystwo. Pewnie myślał, że

Koń, Zwierzęta, Strach,
Szaleństwo,
Niebezpieczeństwo

Cmentarz

Grób, Trup

nieboszczyk dopiero co ułożony w trumnie lepiej chroni przed samotnością niż ci, którzy dawno zasnęli.

Oparłszy plecy o stertę piachu, ukłękął tuż przy grobie. Odstawił wór, tak by ten stał solidnie, i poluzował skórzane pasy, które go podtrzymywały. To wielki dzień, dzień wolny, więc nawet zrzucił z siebie futro. Z przyjemnością usiadł na trawie przy grobie, tak blisko, że długie nogi w wiązanych u kolan onucach i ciężkich butach zwiślały w dole.

Przez długą chwilę nie ruszał się, tylko wbił wzrok w trumnę. Mając w sobie tyle strachu, co on, człowiek nigdy nie jest nazbyt ostrożny. Lecz trumna ani drgnęła; niemożliwe, by kryła jakąś zasadzkę.

Dopiero gdy był całkiem pewny swego, sięgnął do bocznej przegrody worka i wyciągnął skrzypki i smyczek. Jednocześnie skinął głową nieboszczykowi, leżącemu w grobie. Ponieważ się nie ruszał, usłyszy coś pięknego.

Było to bardzo rzadkie, niewielu znało jego muzykę. Nikt jej nie słyszał w domach, gdzie szczerzo go psami i przezywano Kozłem. Zdarzało się jednak, że zagrał w tych chatkach, gdzie rozmawiano po cichu, poruszano się powoli i nikt nie pytał, czy chce kupić kozią skórę. W takich miejscach wyciągał skrzypki i grał. Było to wielkie wyróżnienie, wyraz najwyższego uznania, jakie mógł komuś okazać.

Nie było nic złego w tym, że muzykował nad grobem. Żaden fałszywy ton nie wyszedł spod smyczka, a grał tak cicho, że ledwo było go słyhać przy następnej mogile.

Bo oto wyjątkowość polegała na tym, że to nie Dalarczyk grał, tylko jego skrzypce, które znały kilka melodyjek. Te wyfruwały, gdy on prowadził smyczek. Może dla kogoś nie znaczy to wiele, ale dla niego, który nie pamiętał ani jednej melodii, największym skarbem był ten instrument, grający sam z siebie.

I gdy tak grał, uśmiechał się promiennie, jak ktoś słuchający gaworzenia dziecka. To skrzypce mówiły, a on tylko słuchał. Jakże osobliwe, że te piękne dźwięki rozbrzmiały, gdy tylko lekko przesunął smyczkiem po strunach. To skrzypce się starały, wiedziały, co ma wybrzmieć, a Dalarczyk jedynie siedział i ich słuchał.

Z tych skrzypiec wyrastały pieśni, jak z ziemi wyrasta trawa. Nikt nie pojmował, jak to się działo. Pan Bóg tak to stworzył.

Dalarczyk zamierzał siedzieć tak przez cały dzień, słuchać, jak cudowne tony rozwijają się niczym barwne kwiaty. Chciał wygrać całą łąkę kwietną, całą dolinę, całe wielkie pole.

Lecz na wpół martwa dziewczyna, która leżała w trumnie, musiała usłyszeć grę skrzypiek, co miało na nią przecudowny wpływ. Usłyszawszy melodię, zaczęła śnić, a to, co zobaczyła we śnie, tak ją wstrząsnęło, że serce jej zabiło, a krew zaczęła znów płynąć — aż się obudziła.

Dodać trzeba, że wszystko, co przeżyła, gdy leżała niczym martwa — jej myśli, a nawet ten ostatni sen — poszło w zapomnienie w chwili, gdy ocknęła się i odzyskała pełną świadomość. Nie wiedziała nawet, że leży w trumnie; sądziła, że nadal choruje w domowym zaciszu. Uznała tylko za dziwne, że jeszcze żyje. Dopiero co, zanim usnęła, dyszała ciężko, czekając na śmierć. Już dawno temu powinno jej nie być. Pożegnała się z przybranymi rodzicami, rodzeństwem i służbą. Proboszcz przyszedł z ostatnim namaszczeniem, gdyż dla jej przybranego ojca było to zbyt trudne. Wiele dni temu odwróciła myśli od wszystkiego, co ziemskie. Osobliwe, że nie umarła.

Zdziwiła ją ciemność w pokoju. Gdy chorowała, świece płonęły co noc. I jeszcze zdjęto z niej przykrycie. Leżąc tak, poczuła, że marznie.

Uniosła się nieco, by naciągnąć kołdrę. Czołem uderzyła o pokrywę trumny i na powrót opadła z okrzykiem bólu.

Na tyle mocno ją zabolowało, że znów straciła przytomność. Znieruchomiała jak wcześniej, jak gdyby życie znów z niej uleciało. Dalarczyk usłyszał stuknięcie i okrzyk; natychmiast odłożył skrzypce i nastawił uszu. Ale nie było słyhać nic więcej, nic a nic.

Znów przyjrzał się trumnie, jak zaraz po przybyciu. Kiwał głową, przytakując własnym myślom: a mianowicie, że niczemu na ziemi nie wolno ufać. Napotkał tutaj milczącego, świetnego towarzysza, lecz teraz i jego został pozbawiony.

Oczy wbił w trumnę, jak gdyby chciał przeniknąć wieko wzrokiem. A że nadal było całkiem cicho, w końcu chwycił skrzypce i zamierzał wrócić do grania.

Lecz teraz skrzypce nie chciały. Przeciągał smyczkiem po strunach tak łagodnie i czule, jak tylko potrafił, lecz z instrumentu nie wypływały już żadne melodie. Było to tak

Muzyka, Gra

przykre, że niemal się rozplakał. Zamierzał słuchać skrzypiec cały dzień, a te się teraz uparły.

Domyślał się przyczyny. Skrzypki wystraszyły się odgłosów z trumny. Zapomniały melodii, myślały tylko o tym, co takiego załomotało w pokrywę. Tak to już jest: ze strachu wszystko umyka z pamięci.

Zrozumiał, że musi ukoić skrzypce, jeśli chce dalej słuchać melodii.

Było mu tak dobrze w tej chwili, lepiej niż przez lata. Jeśli w trumnie faktycznie jest coś groźnego, to czy nie lepiej to wypuścić? Ucieszą się skrzypce i znowu zaczną pięknie rozkwitać.

Stanowczym ruchem otworzył swój worek; grzebał wśród noży, pił i młotków, aż znalazł śrubokręt. Chwilę później był już w dole i na czworakach rozkręcał pokrywę trumny.

Wyciągał kolejne śruby, aż wreszcie mógł oprzeć wieko o ścianę grobu. W tej chwili całun zsunął się z twarzy na wpół umarłej dziewczyny.

Gdy tylko świeże powietrze dotarło do Ingrid, otworzyła oczy. Tym razem dookoła było całkiem jasno. Musieli ją gdzieś przenieść. Leżała teraz w żółtym pokoju, z zielonym sufitem i wielkim żyrandolem.

Pokój był ciasny i łóżko niewielkie. Miała wrażenie, że uwięziono jej ręce i nogi. Czy po to, by ją unieruchomić?

Dziwne, pod brodę włożyli jej śpiewnik. Zwyczaj każe postępować tak z nieboszczkami.

W palcach trzymała małe bukietki. Jej przybrana matka ucięła gałązki mirtowe i włożyła jej w dłonie. Ingrid się zdumiała. Cóż matce wpadło do głowy?

Spostrzegła, że dano jej poduszkę z koronką i batystowe prześcieradło, drobno poładowane. Ucieszyła się, lubiła ładne rzeczy wokół siebie. Wolałaby jednak leżeć pod ciepłą kołdrą. Niedobrze jest chyba, gdy chory leży bez przykrycia.

Ingrid zasłoniła oczy dłońmi, była bliska płaczu. Tak bardzo marża.

W tej chwili poczuła na policzku coś twardego i zimnego. Uśmiechnęła się: to stary, czerwony, drewniany konik — trójnoga Camilla — leżał na poduszce. Braciszek, który nie mógł zasnąć, gdy nie miał go obok siebie w łóżku, położył go tutaj. Jaki kochany ten mały braciszek. Jeszcze bardziej zachciało jej się płakać, gdy pomyślała, jak bardzo brat pragnął ją pocieszyć.

Lecz nie zdążyła zalać się łzami. Dotarło do niej, co naprawdę się stało. Braciszek dał jej konika, matka białe mirtowe gałązki, a śpiewnik leżał pod brodą, ponieważ wszyscy sądzili, że dziewczyna nie żyje.

Ingrid chwyciła oburącz brzeg trumny i gwałtownie usiadła. To ciasne łóżko było trumną, a żółty pokój — jej grobem. Niezmiernie trudno było to zrozumieć. Nie mogła pojąć, że to jej dotyczy, że to ją owinięto w całun i to ją włożono do grobu. Z pewnością wciąż leży w domu, w swym łóżku i tylko śni. Zaraz się okaże, że to wszystko jest nierzeczywiste i że życie nadal toczy się w zwyczajny sposób.

Szybko znalazła wytłumaczenie sytuacji. „Tak często miewam dziwaczne sny”, pomyślała. „To tylko halucynacje”. Westchnęła zadowolona. Na powrót ułożyła się w trumnie. Była przekonana, że to jej własne, stare łóżko. W istocie i ono nie było szczególnie szerokie.

Przez cały ten czas Dalarczyk stał w grobie, u stóp Ingrid. Ledwie parę łokci od niej, lecz ona go nie widziała. Z pewnością nie dlatego, że skulił się w kącie i chciał się skryć, kiedy nieboszczka otworzyła oczy i zaczęła się ruszać. Prawdopodobnie by go zobaczyła, choć trzymał pokrywę jak tarczę, gdyby aż do teraz nie zalegała jej przed oczami biała mgła, tak że tylko to, co najbliżej, widziała wyraźnie. Ingrid nie spostrzegła nawet, że dookoła niej wznosiły się piaszczyste ściany. Słońce wzięła za wielki żyrandol, a listowie — za sufit.

Biedaczek Dalarczyk czekał, aż to, co porusza się w trumnie, oddali się jak najprędzej. Miał w głowie tylko jedno: że pójdzie samo z siebie. Pukało przecież, bo chciało się wydostać. Stał tak przez dłuższą chwilę, schowany za wiekiem, czekając, aż odejdzie. Wyjrzał dopiero, gdy zdawało mu się, że powinno już zniknąć. Ale się nie poruszyło, leżało dalej na łożu z desek.

Nie był zadowolony, chciał szybko mieć to za sobą. Od dawna skrzypki nie przemawiały tak pięknie jak dzisiaj, nie mógł się doczekać, aż znów spokojnie zasiądzie sobie z nimi.

Obyczaj

Wtem Ingrid, która już prawie zapadła z powrotem w sen, usłyszała, jak ktoś do niej mówi śpiewnym dialektem:

— Pora, by wreszcie wstać.

Wypowiedziawszy te słowa, Dalarczyk schował głowę. Ręce drżały mu tak, że niemal upuścił pokrywę.

Biała mgła przed oczami całkiem zniknęła, gdy Ingrid usłyszała głos ludzki. Dojrzała mężczyznę, wciśniętego w kącie grobu, który trzyma przed sobą wieko trumny. Naraz pojęła, że nie może się znów położyć, udając, że to majaki. Oto rzeczywistość, w której musi się odnaleźć. Niezaprzeczalnie jest tak, że trumna to trumna, a grób to grób i że sama Ingrid kilka minut wcześniej była pogrzebanym trupem.

Po raz pierwszy naprawdę wystraszyła się tego, co się przydarzyło. Ach, tylko pomyśleć... Mogła w tej chwili być rzeczywiście martwa. Mogła być paskudnym, gnijącym trupem. Włożyli ją do grobu, by zasypać piachem i ziemią; nie była więcej warta od byle jakiej kępy zielska — na zawsze porzucona. Robaki chętnie by ją pożarły. I nikt by się tym nie przejął.

W całej tej zgrozie Ingrid niezmiernie potrzebowała mieć obok siebie człowieka. Od razu rozpoznała Kozła, gdy tylko wytknął głowę zza pokrywę. Był to stary znajomy z plebanii, wcale się go nie bała. Teraz chciała mieć go obok siebie. Nie miało dla niej znaczenia, że jest tylko głupkiem. Chciała, by podszedł bliżej, żeby poczuła, iż do żywych należy, a nie do umarłych.

— Och, podejź tu do mnie, na Boga — odezwała się, bliska płaczu.

Usiadłszy w trumnie, wyciągnęła ku niemu ręce.

Dalarczyk wiedział swoje. A że bardzo go wabiła, zdecydował postawić jej warunek.

— Zbliż się, jeśli sobie pójdziesz — powiedział.

Ingrid chciała od razu go posłuchać i wyjść z trumny, ale była tak mocno owinięta całunem, że nie mogła się ruszyć.

— Musisz mi pomóc — poprosiła, bo było to istotnie konieczne, ale też dlatego, że tak bardzo się bała; chciała się upewnić, że jednak uniknęła śmierci, musiała się zbliżyć do kogoś żywego.

Podszedł zatem, przeciskając się między trumną a ścianą grobu. Pochylił się nad dziewczyną, uniósł ją i posadził na zielonej trawie przy otworze.

Inaczej się nie dało; musiała objąć rękami jego szyję, głowę oprzeć mu na ramieniu i załkać. Potem nie mogła zrozumieć, jak do tego doszło i że się go w ogóle nie bała. To po części radość, że był człowiekiem, żywym człowiekiem, a po części wdzięczność, że ją uratował.

Dobry Boże, co by to było, gdyby nie ten człek! To on podniósł pokrywę i przywrócił Ingrid do życia. Nie miała pojęcia, jak do tego doszło, ale to z pewnością on otworzył trumnę. Cóż by poczęła, gdyby tego nie zrobił? Obudziłaby się zamknięta w czarnej skrzyni. Łomotałaby, krzyczała. I któż by ją usłyszał, leżącą sześć stóp pod ziemią? Ingrid nie miała odwagi o tym wszystkim myśleć, promieniała tylko z wdzięczności, że ją ocalono. Komuś musi podziękować. Musi oprzeć głowę na ramieniu człowieka i zapłakać z wdzięczności.

Najdziwniejsze, co wydarzyło się tego dnia, to że Dalarczyk nie odtrącił dziewczyny. Nie miał całkowitej pewności, czy nie była jednak nieboszczką, a wiedział, że zmarłym sprzeciwiać się nie należy. Przy najbliższej sposobności uwolnił się od niej i wskoczył do grobu. Ułożył pokrywę na właściwym miejscu i na powrót przykręcił śruby. W ten sposób trumna pozostanie nieruchoma, a skrzypce odzyskają swoje melodie.

Tymczasem Ingrid siedziała na trawie, rozmyślając. Na kościelnym wzgórzu dojrzała konie i wozy. Zaczynała pojmować sytuację. Była niedziela, nad ranem złożono ją do grobu, a teraz wszyscy siedzieli w kościele.

Potworny strach opanował dziewczynę. Nabożeństwo niebawem się skończy, ludzie wyjdą i ją spostrzegą. A ona nie miała na sobie nic prócz całunu. Była prawie całkiem naga. Niech Bóg broni, by tyle osób zobaczyło ją w takim stanie! Nigdy by tego nie zapomnieli. Wstydziliby się przez całe życie.

Skąd miała wziąć odzienie? Przez chwilę chciała zarzucić na siebie futro Dalarczyka, ale doszła do wniosku, że przez to będzie się za bardzo odróżniać od zwykłych ludzi.

Wtem zwróciła się do obłąkanego, który wciąż mocował się z pokrywą.

Trup, Strach

Strach, Tłum, Hańba

— Posłuchaj. Musisz mnie ukryć w swym worze.

W jednej chwili znalazła się przy wielkiej, skórzanej torbie, zawierającej towary, które mogłyby zappełnić całe stoisko, i zaczęła je wyrzucać.

— Och, błagam, wyjdźże i pomóż mi!

Nie na darmo prosiła. Gdy Dalarczyk zobaczył, że dotyka jego wora, natychmiast wyskoczył z dołu.

— Cóż to, ruszasz moje rzeczy? — odezwał się groźnie.

Ingrid nie zwróciła uwagi na ostry ton jego głosu, wciąż miała go za najlepszego przyjaciela.

— Och, mój drogi, mój drogi — błagała — pomóż, żeby ludzie mnie nie zobaczyli! Opróżnij gdzieś wór z tych towarów, daj mi wejść do środka i zanieś mnie do domu! Proszę, zrób to! Mieszkam na plebanii, to tylko kawałek stąd. Na pewno wiesz, gdzie to jest.

Mężczyzna patrzył na nią tępym wzrokiem. Nie mogła się domyślić, czy pojął choćby jedno słowo.

Powtórzyła, lecz jego mina nie zdradzała, że zamierza jej posłuchać.

Znów zaczęła wyrzucać rzeczy. Wtedy tupnął nogą i wyszarpał wór z jej rąk.

Mój Boże, jak Ingrid miała do niego przemówić?

Obok niej na trawie leżały skrzypce i smyczek. Podniosła je, nie wiedząc, dlaczego to robi. Tak dużo czasu spędziła z muzykantami, że nie mogła patrzeć na instrument leżący na ziemi.

Gdy go dotknęła, Dalarczyk puścił wór i wyrwał jej skrzypce.

Rozwścieczyło go, że je ruszyła.

Cóż miała zrobić, by zniknąć, nim wierni wyjdą z kościoła?

Zaczęła mu obiecywać najwspanialsze rzeczy, jak się przyrzeka dzieciom, chcąc je udobruchać.

— Powiem ojcu, żeby kupił od ciebie tuzin sierpów¹². Pozamykam psy, żebyś mógł przyjść na plebanię. Poproszę matkę, by podała ci najlepszy posiłek.

Nie wyglądało na to, że ustąpi.

Pomyślała o instrumencie i rzekła zrozpaczona:

— Zanieś mnie do domu, a zagram ci na skrzypcach.

I oto proszę! Na jego twarz wstąpił uśmiech. Oto, czego chciał.

— Będę ci grała całe popołudnie, tak długo, jak tylko zechcesz.

— I nauczysz skrzypce nowych melodii? — zapytał.

— Z radością.

W tej samej chwili Ingrid ucieszyła się i trochę zmartwiła. Mężczyzna chwycił mocno za wór. Ciągnął go po grobach, a tobołki polne i bylica ugiwały się jak pod walcem.

Doszedł do stosu suchych liści, gałęzi i zwiędniętych bukietów przy samym cmentarnym murze. Tam wyjął wszystko i schował dokładnie pod chrustem.

Gdy już opróżnił wór, wrócił do Ingrid.

— Możesz wejść do środka.

Ingrid wsunęła się do wora i skuliła na spodzie z desek. Mężczyzna zapiął pasy tak dokładnie, jakby to właśnie towary miał przenieść; znów się zgarbił, ugiął nogi, ramiona wsunął w szelki, sznury zacisnął na krzyż na piersi i podniósł się. Zrobiwszy kilka kroków, zaczął się śmiać. Niósł na plecach wór tak lekki, że mógłby zacząć z nim tańczyć.

*

Z kościoła do plebani było nie więcej niż ćwierć mili. Drogę tę Dalarczyk przebył w dwadzieścia minut. Ingrid pragnęła tylko, by szedł jak najszybciej i by zdążyli przed wiernymi i gośćmi, przybyłymi na pogrzeb. Nie mogła znieść myśli, że tylu ludzi mogłoby ją zobaczyć. Najlepiej, gdyby w obejściu były tylko matka przyrodnia i służące.

Dziewczyna zabrała z grobu mirtowy bukiet. Tak bardzo się zeń cieszyła, że raz po raz całowała płatki. Dzięki niemu myślała o matce z czułością większą niż kiedykolwiek

Kwiaty

¹²sierp — tu: ręczne narzędzie rolnicze, używane dawniej do żęcia. [przypis edytorski]

wcześniej. Naturalnie myślałaby o niej z czułością tak czy inaczej. Ten, kto wraca prosto z grobu, ma łagodne i promienne myśli o wszystkim, co żywe i co chodzi po ziemi.

Teraz w głębi serca rozumiała, że wikariuszowa musiała kochać własne dzieci dużo bardziej, niż mogła pokochać przybraną córkę. A ponieważ doskwierała im bieda, przez co nie mogli mieć piastunki do dzieci, wydało się naturalne, że to ona zaopiekuje się młodszym rodzeństwem. Rodzeństwo nie było dla niej miłe, a to tylko dlatego, że dzieci przywykły do Ingrid w roli opiekunki. Zapominały, że została przyjęta do domu jako ich siostra.

Tak więc wszystko to działo się z powodu biedy. Gdyby się kiedyś zdarzyło, że ojciec zostałby pastorem albo proboszczem, wszystko zapewne by się ułożyło. Wówczas ona odzyskałaby tamten czas, pierwsze wspólne lata, gdy wszyscy ją kochali. Och, jasne, że wszystko będzie wtedy jak dawniej! Ingrid ucałowała kwiatki. Być może przybrana matka wcale nie chciała być taka sroga. To tylko bieda uczyniła ją wyjątkowo okrutną.

Poza tym nie przejmowała się wcale tym, jak się wobec niej zachowywali. Nic nie było w stanie jej zasmucić, albowiem w tej chwili mogła się tylko cieszyć, że żyje. A jeśli znów będzie jej ciężko, pomyśli o mircie od matki i koniku braciszka.

Radował ją sam fakt, że niesiono ją teraz żywą. Nad ranem nikt nie sądził, że jeszcze raz przemierzy tutejsze pagórki. Pachnąca koniczyna, rozśpiewane ptaszyny, przyjemne, rzucające cień drzewa — wszystko to ku radości żywych. Wcale nie miało być dla niej.

Jak wspomniano, nie miała zbyt wiele czasu na te rozmyślenia, bo w dwadzieścia minut Dalarczyk dotarł na plebanie.

W domu była tylko wikariuszowa i służące, jak domyślała się Ingrid. Całe przedpołudnie przybrana matka szykowała stypę. Teraz wyczekiwała gości, bo wszystko było już gotowe. Właśnie wyszła z sypialni, gdzie wystroiła się w czarną suknię.

Spojrzała na drogę, ale nikt nie nadjeżdżał. Poszła więc do kuchni, żeby ponownie skosztować potraw.

Była rada, bo wszystko się udało, a to zawsze daje zadowolenie, nawet jeśli ktoś jest w żalobie. W kuchni zastała tylko jedną służącą, tę, którą zabrała z własnego domu, uznana więc, że może jej się zwierzyć.

— No wiesz, Liso — powiedziała — z takiej stypy każdy byłby zadowolony.

— Chciałabym, by Ingrid spojrzała na ziemię i zobaczyła, jak się państwo dla niej postarali — odezwała się Lisa. — Ucieszyłaby się.

— O — rzekła wikariuszowa — z tego, co ja dla niej robiłam, nigdy nie była zadowolona.

— Dziewczyna nie żyje — odparła służąca — nie mnie mówić o tej, co ledwie ją pochowali.

— Mój mąż często karmił mnie z jej powodu ostrymi słowami.

Wikariuszowa miała potrzebę porozmawiania o zmarłej. Dręczyło ją sumienie, dlatego wydała tak wystawne przyjęcie. Zdawało jej się, że te wyrzuty zelżęją wobec całego wysiłku, jaki włożyła w pogrzeb, ale tak się nie stało. Jej męża także męczyła świadomość, że nie pozwolili dziewczynie czuć się jak ich własne dzieci — a obiecali to, biorąc ją do siebie. Powiedział też, że lepiej by było wcale jej nie przygarniać, skoro nie umieli ukryć przed tym dzieckiem, że bardziej kochają własne. A teraz jego żona chciała pomówić z kimś o Ingrid, dowiedzieć się, czy ludzie mają ją za okrutną przybraną matkę.

Spostrzegła, że Lisa zaczęła z impetem mieszać w garnku, jakby trudno jej było opanować wzburzenie. Była nieglupią dziewczyną, dobrze wiedziała, jak właściwie ułożyć stosunki z panią.

— Można by sądzić — zaczęła Lisa — że mając troskliwą matkę, przy której jest się całym i zdrowym, należy być wobec niej miłym i posłusznym. A skoro ktoś trafi do dobrego domu i jest wychowywany na porządnego człowieka, to raczej powinien przynosić pożytek, a nie robić z siebie wariata i tylko śnić na jawie. Zastanawiam się czasem, jakby to było, gdybyście państwo nie wzięli tego biednego dziecka. Włóczyłaby się z linoskoczkami i dokonała żywota gdzieś na ulicy.

Przez podwórkę przechodził Dalarczyk z worem na plecach, choć była niedziela. Ci chutko wsunął się przez otwarte drzwi; dygnął, jednak nikt nie odpowiedział na jego przywitanie. Obie go zauważyły, ale nie przerywały rozmowy.

Bieda

Sługa

Wikariuszowa chciała dalej rozprawiać o Ingrid. Zrozumiała, że teraz usłyszy dokładnie to, czego potrzebuje, by ulżyć sumieniu.

— Może to i dobrze, że odeszła — rzekła.

— Powiem pani — odezwała się gorliwie służąca — że według mnie i wikariusz tak sądzi albo niedługo zacznie myśleć w ten sposób. W domu zapanuje spokój, pani się przekona, a to go uszczęśliwi.

— O tak — powiedziała przybrana matka. — Dużo musiałam znosić. Wiecznie trzeba było wydawać pieniądze na jej nowe ubrania, to szaleństwo. Mój mąż tak bardzo się troszczył, by czuła się równa innym dzieciom, że czasem dostawała wręcz więcej. A dużo na nią szło, bo dorosła.

— To pewnie Grecie odda pani jej lnianą sukienkę?

— No, oddam Grecie albo sama ją sobie zatrzymam.

— Niedużo po sobie zostawia, biedaczka.

— Nikt nie oczekuje po niej spadku — powiedziała przebrana matka. — Wystarczyłoby, gdyby człowiek mógł pamiętać jej jedno dobre słowo.

Takie rzeczy mówi się tylko, gdy gryzie człowieka sumienie i chce się przed tym obronić. Wikariuszowa wcale tak nie myślała.

Dalarczyk zachowywał się tak samo jak wtedy, gdy przychodził z towarem na sprzedaż. Przez chwilę rozglądał się po kuchni, po czym ślamazarnie postawił wór na stole i rozwiązał rzemienie. Spojrzał wokół jeszcze raz, by nie zaatakował go kot ani pies, rozprostował plecy i zaczął otwierać dwie skórzane pokrywy, przyłączone za pomocą niezliczonych klamer i węzłów.

— Niech się dziś nie kłopotce, nie wyciąga nic z wora — odezwała się Lisa. — Jest niedziela, wie przecież, że nic nie kupimy.

Nie dopytywała, dlaczego tamten dalej rozwiązuje sznury. Odwróciła się do wikariuszowej. Znalazła dobrą okazję, by wkraść się w jej łaski.

— Nie wiem nawet, czy była dobra dla dzieci. Często słyszałam płacz i jęki z pokoju dziecinnego.

— Jaka była dla matki, taka i dla nich — westchnęła wikariuszowa — a teraz płaczą, że jej już nie ma.

— Nie wiedzą, co dla nich dobre. Pani zobaczy, za miesiąc wszyscy przestaną po niej rozpaczać.

W tej chwili obie spojrzały znad kuchni na stół, gdzie Dalarczyk otwierał swój wór. Usłyszały coś dziwnego — westchnienie albo i szloch. Mężczyzna zdjął pokrywę, a z wora wyłoniła się dopiero co pochowana przybrana córka, taka jak wówczas, gdy wkładali ją do trumny.

Nie była jednak do siebie podobna. Wydawała się teraz zdecydowanie bardziej martwa niż wtedy, gdy ją składali do grobu. Wówczas miała niemal ten sam kolor skóry co za życia, teraz jej twarz była popielata, wargi granatowe, a oczy zapadnięte.

Nie odezwała się słowem, ale z jej twarzy dało się wyczytać wielką rozpacz, a mirtowy bukiet, który dostała od matki, podała jej z wyrzutem.

Nie był to widok, który zniósłby człowiek. Przybrana matka od razu zemdląła, służąca przez moment stała nieruchomo, patrzyła to na córkę, to na matkę, po czym zakryła oczy dłońmi i pobięła do spiżarni, którą dobrze zaryglowała.

— Nie — powiedziała — to nie do mnie ma sprawę, nie muszę na to patrzeć.

Ingrid zwróciła się do Dalarczyka:

— Schowaj mnie i zabierz stąd. Słyszysz? Słyszysz? Zabierz mnie tam, skąd mnie przyniosłeś!

Akurat w tej chwili Dalarczyk wyjrzał przez okno. Aleją na podwórze wjechał rząd powozów i fur. Ach tak! Nie chce tu dłużej zostać. W ogóle mu się to nie podobało.

Ingrid skuliła się na dnie wora — o nic już nie prosiła, tylko szlochała. Zamknęły się za nią kłapy i pokrywy, została znów dźwignięta na plecy i wyniesiona z domu. Ci, co zjechali na stypę, mieli niezły ubaw z Kozła, który uciekał, dygając przed każdym napotkanym koniem.

Sługa, Dziecko

ROZDZIAŁ PIĄTY

Anna Stina była starą kobietą, która mieszkała w środku lasu. Przychodziła czasem z pomocą na plebanie; ruszała po zboczach jakby przywołana, gdy zabierano się do pieczenia albo do prania. Była to miła i mądra staruszka, przyjaźniły się — ona i Ingrid. Gdy tylko dziewczyna o niej pomyślała, postanowiła szukać pomocy u Anny Stiny.

— Posłuchaj — powiedziała do Dalarczyka. — Gdy dojdiesz do szosy, skręć w stronę lasu. Idź, aż trafisz na ścieżkę. Tam skręć w lewo. Wtedy znowu przed siebie, aż dojdiesz do wielkiego piaszczystego dołu. Stamtąd zobaczysz chatkę i tam mnie zanieś, a ja ci zagram.

Drażnił jej uszy ten przerywany, szorstki ton, jakim wydawała polecenia. Musiała mówić w ten sposób, by jej usłuchał, inaczej się nie dało. Żeby choć wolno jej było rozkazywać drugiemu człowiekowi, jej, która nie miała nawet prawa żyć!

Po tym, co się wydarzyło, już nigdy nie powinna czuć, że ma prawo do życia. W tym tkwił okrucieństwo. Przez sześć lat na plebanii nie umiała obudzić w nich sympatii, sprawić, by życzyli jej zdrowia. A kto nie jest kochany, nie zasługuje na życie.

Nie potrafiła powiedzieć, skąd o tym wie, ale było to oczywiste. Wiedziała to, bowiem gdy usłyszała, że jej nie lubią, jakaś żelazna dłoń chwyciła jej serce i ścisnęła, by je zatrzymać. Samo życie zostało przed nią zamknięte. A w chwili, kiedy wyrwała się śmierci i poczuła, jak życie zuchwale w niej płonie, odebrano jej to, co uprawnia do istnienia.

To było gorsze od wyroku śmierci. O wiele bardziej okrutne. Wiedziała, do czego jest to podobne... Jak wtedy, gdy ścina się drzewo — nie w zwyczajny sposób, odpilowując pień, lecz rąbiąc korzenie i zostawiając je w ziemi, by same umarły. Drzewo nie rozumie, dlaczego pozbawiono je pożywienia i soków. Walczy, chce przeżyć, ale liście się kurczą, nie pojawiają się nowe kielki, kora się łuszczy. I musi umrzeć, bo odcięto je od życiodajnych źródeł. I to wszystko, po prostu musi umrzeć.

Wreszcie Dalarczyk położył wór na kamieniu przed chałupką w środku dzikiego lasu.

Drzwi były zamknięte. Ale gdy tylko Ingrid wylazła z wora, wyjęła klucz, schowany pod progami, otworzyła i weszła do środka.

Dobrze знаła chałupę i wszystko, co tam było. Nie po raz pierwszy trafiła tu, szukając pocieszenia. Nie po raz pierwszy przyszła do starej Anny Stiny, by powiedzieć, że ciężko jej w domu, że przybrana matka jest dla niej sroga i że już nie chce wracać na plebanie.

Za każdym razem, gdy tutaj przychodziła, staruszka przemawiała Ingrid do rozumu i uspokajała ją. Parzyła okropną kawę, w której nie było ani jednego prawdziwego ziarna, a tylko groch i cykoria, jednak napój i tak podnosił dziewczynę na duchu. I w końcu mogła się ze wszystkiego śmiać — tak ją to ożywiało, że w drodze powrotnej do domu tańczyła walca na zboczach.

Lecz tym razem nawet gdyby Anna Stina była w domu i zaparzyła swoją okropną kawę, to i tak nie pomogłoby to dziewczynie. Jednak staruszka poszła na plebanie, na pogrzeb Ingrid, bowiem wikariuszowa nie zapomniała zaprosić tych, których córka darzyła sympatią. I to pewnie też przez wyrzuty sumienia.

W starej chałupie Anny Stiny nic się nie zmieniło. Gdy tylko Ingrid dojrzała ławę z drewnianą przykrywą, wyczyszczony stół, kota i dzbanek do kawy, wprawdzie nie poczuła zbyt wiele pocieszenia, ale wiedziała, że w tym miejscu może dać ujście rozpaczom.

Otuchy dodawało jej to, że nie musi o niczym innym myśleć — tylko płakać i lamentować.

Natychmiast podeszła do ławy, rzuciła się na nią i leżała tak, płacząc, nie wiadomo jak długo.

Dalarczyk siedział na kamiennej płycie; ze względu na kota niechętnie myślał o wejściu do środka. Czekał, aż Ingrid wyjdzie i mu zagra. Dawno już wyjął swe skrzypce. A że dziewczyna nie pojawiała się, sam zaczął grać.

Grał łagodnie i cicho — jak zwykle. Melodia ledwo docierała do uszu Ingrid.

Poczuła, jak drżenie — jedno po drugim — przechodzi jej przez ciało. Tak czuła się, gdy zachorowała. Pomyślała, że to nawrót choroby. I pewnie będzie lepiej, jeśli gorączka ją teraz naprawdę zabije.

Usłyszawszy grę skrzypiec, usiadła i rozejrzała się spłoszonym wzrokiem. Kto grał? Czy to jej student? Czy wreszcie przyszedł?

Okrucieństwo, Rodzina,
Samotność, Drzewo,
Śmierć

Gra, Muzyka,
Wspomnienia

Zaraz zrozumiała, że to Dalarczyk, i głęboko wzdychając, na powrót się położyła. Nie była w stanie śledzić melodii. Ale gdy tylko zamknęła oczy, skrzypce przemówiły głosem studenta. Słyszała każde słowo; rozmawiał z przybraną matką, wziął Ingrid w obronę. Mówił tak pięknie jak niegdyś do państwa Blomgrenów. „Ingrid potrzebuje dużo miłości”, powiedział. To tego jej brakowało. Dlatego nie zawsze spełniała swe obowiązki i uciekała w marzenia na jawie. A nikt nie rozumiał, jak dobrze potrafi pracować dla kogoś, kto ją pokocha. Dla takiego człowieka znosiłaby smutek, chorobę, pogardę i biedę. Dla niego byłaby silna jak olbrzym, cierpliwa jak niewolnica.

Miłość

Ingrid wyraźnie słyszała jego słowa; poczuła, jak wstępuje w nią spokój. To prawda. Gdyby tylko przybrana matka ją kochała, zobaczyłaby, do czego Ingrid jest zdolna. Ale że jej nie lubiła, Ingrid ogarniała niemoc. Ależ tak, taka jest prawda.

Przestała odczuwać gorączkowe dreszcze. Leżała tak i słuchała, jak student mówi.

Czasem zasypiała raz po raz, myśląc, że nadal jest w grobie — wtedy on przychodził i wyjmował ją z trumny. Spierała się z nim o to.

Sen

— Przychodzisz teraz? Kiedy ja śnię?

— Zawsze przychodzę, by ci pomóc, Ingrid — rzekł. — Wiesz przecież. Wyjmuję cię z grobu, niosę na barkach, koję cię mym graniem. To zawsze ja.

Tym, co bez przerwy jej przeszkadzało i ją budziło, była myśl, że musi wstać i zagrać Dalarczykowi. Kilka razy uniosła już głowę, ale brakło jej siły.

Gdy tylko ponownie opadła na posłanie, śniła. Siedziała skulona w worze, a student niósł ją przez las. Zawsze on.

— Ale to nie byłś ty — rzekła do studenta.

— Ależ tak, to ja — uśmiechał się lekko w odpowiedzi na jej wątpliwości. — Przez wszystkie te lata co dzień o mnie myślałaś, więc chyba rozumiesz, że nie mogłem opuścić cię w niebezpieczeństwie.

Wydało jej się to całkiem oczywiste, więc zaczęła rozumieć, że tak — to był on.

Czuła tak nieskończoną rozkosz, że znów się budziła. A w całym jej ciele drgała miłość. Bardziej rzeczywista być już nie mogła, nawet gdy usiądzie i porozmawia z ukochanym.

— Dlaczego on nigdy nie przychodzi naprawdę? — powiedziała półgłosem. — Dlaczego pojawia się tylko w moich snach?

Nie śmiała się ruszyć. Uczucie miłości prysnęłoby natychmiast. Jak gdyby na jej ramieniu siedział płochliwy ptak, a ona nie chciała go wystraszyć.

Jeśli się ruszy, odfrunie, a rozpacz znów opanuje jej zmysły.

W chałupie panował półmrok, gdy się już wreszcie całkiem obudziła. Musiała przespać i popołudnie, i wieczór. O tej porze roku słońce zachodziło po dziesiątej.

Skończyła się także melodia skrzypiec, Dalarczyk ruszył pewnie w drogę.

Stara Anna Stina jeszcze nie wróciła. Pewnie zamierza zostać tam na noc.

Dziewczynie to nie przeszkadzało, miała tylko ochotę położyć się i spać dalej. Bała się rozpacz, która ją dopadnie po przebudzeniu.

Ale nowa myśl zaprzętnęła jej głowę. Kto zamknął drzwi, kto przykrył ją szalem Anny Stiny i kto na ławie obok położył dla niej kawałek chleba?

Czyżby to wszystko zrobił dla niej on, ten Kozioł?

Przez chwilę zdawało jej się, że widzi, jak sen i życie stoją obok siebie, rywalizując, kto lepiej ją pocieszy. Sen był słoneczny, uśmiechem wlewał w Ingrid błogą miłość, by dodać jej otuchy. Lecz także życie, ciężkie i surowe, rozsypując okruchy życzliwości, pragnęło pokazać, że nie ma wobec niej złych zamiarów, jak jeszcze niedawno mogło się wydawać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ingrid i Anna Stina wędrowały przez ciemny las. Szły przez cztery dni, trzy noce spędziły w szałasach. Ingrid była nieprzytomna ze zmęczenia, twarz miała bladą, oczy zapadnięte, błyszczące od gorączki. Staruszka Anna Stina od czasu do czasu rzucała na nią po kryjomu spojrzanie i prosiła Boga, żeby dał dziewczynie siłę, by ta nie zachorowała i nie umarła na mchu. Chwilami babka odwracała się wystraszona. Miała niemile wrażenie, że kroczy za nimi lasem stara matka Śmierć, by zabrać tę, która zapowiedziała się u niej Słowem Bożym i posypaniem ziemi.

Podróż, Strach, Droga

Staruszka była niska i tęga, miała dużą, prostokątną twarz, tak mądrą, że dodawało jej to urody. Nie była przesadna — mieszkała samotnie w środku lasu, nie obawiając się ani trolli, ani rusalek — lecz kiedy szła obok Ingrid, czuła, jak gdyby ktoś jej wręcz wyjaśniał, że idzie obok kogoś, kto nie należy do tego świata. Tak to zrozumiała, gdy znalazła dziewczynę w chatce w poniedziałkowy ranek.

Nie wróciła do domu w niedzielę wieczorem, bowiem wikariuszowa poważnie zaniemogła, a Anna Stina, która знаła się na chorobach, została, by przy niej czuwać. Przez całą noc wikariuszowa majaczyła, że objawiła się jej Ingrid, w co stara nie mogła uwierzyć.

I gdy wreszcie przysła do domu i ujrzała dziewczynę, chciała natychmiast wrócić na plebanię i powiedzieć wszystkim, że to nie ducha widzieli; lecz zobaczywszy minę Ingrid, nie miała śmiałości ruszyć się z miejsca. Życie w niej trzepotało jak płomień świecy, która zaraz zgaśnie od silnego poddmuchu. Mogłaby umrzeć tak łatwo jak ptak w klatce. Śmierć szła jej tropem, musi być uważna i ostrożnie stawiać kroki, jeśli chce zostać przy życiu.

Staruszka nie była pewna, czy Ingrid nie jest po prostu zjawą — tak mało zostało w niej życia. Całkiem odrzuciła myśl o przemawianiu jej do rozsądku, należało po prostu przyjąć, że dziewczyna nie chce, by ktokolwiek wiedział o jej stanie. Dlatego Anna Stina postanowiła postąpić najmądrzej, jak umiała. Jej siostra służyła jako gosposia w dużym majątku w Dalarnie; zdecydowała się zabrać tam Ingrid i uprosić siostrę o miejsce dla niej. Dziewczyna musiała się zadowolić pracą służącej. Innej rady nie było.

Szły więc teraz do tego majątku. Anna Stina знаła okolicę na tyle dobrze, że w ogóle nie musiały iść główną drogą, lecz przemierzały bezładne, leśne ścieżki. Niełatwo im było uniknąć trudności. Buty były schodzone, spódnice brudne i postrzępione na brzegach. Złośliwa gałązka zadrasnęła rękaw bluzki Ingrid.

Pod wieczór czwartego dnia dotarły na skraj lasu, skąd ujrzały głęboką dolinę. Daleko w dole leżało jezioro, a przy samym jego brzegu wysoka wyspa, na której wznosił się biały dwór. Gdy Anna Stina ujrzała budynek, oznajmiła, że to jest Munkhyyttan i że to tam służy jej siostra.

Na wzgórzu na skraju lasu doprowadziły się do porządku. Zawiązały na nowo chustki na głowach, mchem przetarły obuwie, umyły się w leśnym potoku. Anna Stina podwinęła dziewczynie rękaw bluzki, żeby ukryć rozdarcie.

Westchnęła na widok Ingrid, wręcz straciła nadzieję. Przedziwnie wyglądała w ubraniach pożyczonych od starszej kobiety, w ogóle na nią nie pasowały. Wyglądała na istotę pozbawioną sił, siostra Stava nie weźmie jej na służbę. To jak zatrudnić powiew wiatru. Z dziewczyny nie będzie więcej pożytku niż ze schorowanego motyla.

Gdy już były gotowe, ruszyły w dół, w stronę jeziora. Był to krótki odcinek. Zaraz weszły na teren majątku.

Owszem, był to majątek!

Rozciągały się tam wielkie, zaniedbane pola, które powoli zarastał las. Mostek prowadzący na wyspę był tak rozchybotany, że nie sądziły, iż uda im się przejść na drugą stronę. Dalej aleja, wiodąca od mostu do domostwa, zarośnięta była trawą niczym pastwisko, a na środku drogi leżało drzewo, powalone wichurą.

Pięknie było na wyspie, tak pięknie, że mógłby tam wznosić się zamek. Ale w ogrodzie nie było ani jednego kwiatka, w wielkim parku drzewa dusiły się nawzajem, a na zielonych, błotnistych ścieżkach wiły się zaskrońce.

Widząc to zaniedbanie, Anna Stina złękła się; mruczała do siebie: „Jak to możliwe? Czy siostra Stava nie żyje? Pozwala, by tak wyglądało? Inaczej było trzydzieści lat temu, kiedym ostatnio tu była. Co, na Boga, wstąpiło w Stave?”. Nie była w stanie pojąć, że w miejscu, gdzie rządzi jej siostra, może panować taki nieład.

Ingrid szła za nią powoli i z oporem. W chwili, gdy postawiła nogę na moście, zauważyła, że nie są tylko we dwie — jest ich troje.

Ktoś ją wyminął, a potem zawrócił i ruszył za nią.

Nie słyszała kroków, ale ten, kto ją śledził, znajdował się tuż obok niej. Widziała, że jest tam na pewno.

Bardzo się wystraszyła, już miała prosić Annę Stinę, by zawróciły; chciała powiedzieć, że wszystko jest tu zaczarowane, że nie ma odwagi iść dalej. Lecz zanim zdążyła wymówić choć słowo, obcy podszedł do niej tak blisko, że zaraz go rozpoznała.

Śmierć

Droga

Upadek

Duch, Czary

Już kiedyś pojawiał się niewyraźnie — teraz był tak widoczny, że była pewna: to przecież on, to student.

Przestało ją przerażać, że idzie obok. Było coś miłego i uroczystego w tym, że wyszedł jej na spotkanie. Jak gdyby to on ją tu przyprowadził i teraz chciał wszystko pokazać.

Szedł z nią przez most i aleją, aż do samego budynku.

Nie mogła przestać zerkać w lewą stronę. Widziała tam jego twarz, tuż przy swoim policzku. Twarz zresztą ledwie mogła dojrzeć, spostrzegła tylko niezmiernie piękny uśmiech, sunący z czułością obok niej. Lecz gdy odwróciła głowę, by mu się przyjrzeć, zniknął. Nie, nie było tam nic, co można by wyraźnie zobaczyć. A gdy patrzyła przed siebie, znów się pojawiał, tuż przy niej.

Ten, który z nią szedł, nie odzywał się. Nie robił nic, tylko się uśmiechał, a jej to wystarczyło. Z pewnością czynił tak po to, by jej pokazać, że jest w świecie ktoś, kto darzy ją czułą miłością.

Jego obecność jawiła się jako na tyle rzeczywista, że Ingrid nabrała przekonania, iż on ją chroni i nad nią czuwa. Wobec tej cudownej świadomości ustąpiła cała rozpacz, obudzona przez ostre słowa przybranej matki.

Ingrid poczuła, że została przywrócona do życia. Miała prawo do życia, ponieważ ktoś ją kochał.

I tak oto weszła do kuchni w Munkhyttan — z rumieńcem na policzku i błyskiem w spojrzeniu. Krucha, słaba i przezroczysta, lecz śliczna jak róża w rozkwicie.

Wciąż czuła się jakby we śnie; nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje, a najbardziej dziwiło ją to, że przy piecu stała druga Anna Stina. Niska i masywna, o dużej, prostokątnej twarzy — zupełnie jak ta pierwsza. Ale dlaczego ma biały czepek, związany wstążką pod szyją, i czarną bombazynową¹³ suknię? Ingrid była tak oszołomiona, że długa chwila minęła, nim pojęła, że to musi być panna Stava.

Poczuła na sobie niespokojny wzrok Anny Stiny; starała się ocknąć, by się przywitać. Ale nic nie było ważne dla niej prócz tego, że on się pojawił.

Za kuchnią znajdował się małeńki pokójek za niebieską zasłonką w kratę. Tam je wprowadzono, a panna Stava podała im posiłek i kawę.

Anna Stina od razu zaczęła wyjaśniać sprawę. Bardzo długo mówiła; wiedziała, że jej siostra ma taką reputację u radczyni, iż sama może zatrudniać ludzi do pracy w gospodarstwie. Panna Stava nie odpowiedziała, za to zmierzyła Ingrid wzrokiem, mówiącym, że nie miałyby tej reputacji, gdyby przyjmowała osoby podobne do niej.

Anna Stina zachwalała Ingrid, mówiąc, że to dobra dziewczyna. Służyła dotąd na plebanii, a teraz, gdy już dorosła, chciała zdobyć porządne doświadczenie w zawodzie, dlatego Anna Stina przyprowadziła ją do osoby, która nauczy ją więcej niż ktokolwiek inny.

Panna Stava i na to się nie odezwała. Lecz jej spojrzenie nie kryło zdziwienia na widok dziewczyny, która, opuściwszy służbę na plebanii, nie miała własnego odzienia, tylko pożyczyła je od staruszki.

Anna Stina opowiadała tymczasem, jak poznała Ingrid — staruszka mieszkała wtedy samotnie w lesie, opuszczona przez swoich bliskich. Ta mała wbiegała na wzgórze wieczorem i wczesnym rankiem, by jej doglądać. Dlatego Anna Stina myślała z głęboką nadzieją, że kiedyś będzie mogła wspomóc dziewczynę, żeby było jej dobrze.

Panna Stava współczuła im, że tak daleko szukały posady. Jeśli dziewczyna jest dobra, mogłyby przecież służyć w majątku bliżej ich okolicy.

Anna Stina pojęła, że sprawy nie idą w dobrym kierunku, uderzyła zatem w podniosły ton:

— Siedziałaś tu, Stavo, wygodnie i w dobrobycie, przez całe całe ten czas, gdy ja walczyłam z wielką biedą. Nigdy cię o nic nie prosiłam aż do dzisiaj. A teraz chcesz mnie odprawić jak jakąś żebraczkę, nie dając mi nic prócz jednego posiłku!

Panna Stava uśmiechnęła się i odparła:

— Sostro Anno Stino, nie mówisz prawdy. Też jestem z Råglandy i chciałabym wiedzieć, w której tamtejszej wielkiej chacie narodziły się takie oczy i taka twarz. —

¹³bombazynowy — zrobiony z bombazynu, dekatyzowanej tkaniny półwełnianej niskiej jakości. [przypis edytorski]

Wskazawszy na Ingrid, ciągnęła: — Rozumiem, Anno Stino, że chcesz pomóc dziewczynie o takim wyglądzie, ale nie pojmuję, jak możesz sądzić, że twoja siostra Stava jest tak naiwna, iż możesz przyjść do niej i ją okłamywać.

Anna Stina tak się przestraszyła, że słów jej zabrakło. Wówczas Ingrid postanowiła zwierzyć się staruszce i cichym, pięknym głosem opowiedziała jej swą historię.

Ledwie w paru słowach opisała, jak to leżała w grobie i jak Dalarczyk przyszedł jej z pomocą, a stara panna Stava zarumieniła się i chcąc to zataić, pochyliła głowę. Trwało to raptem chwilę, lecz musiało oznaczać coś dobrego, bo odtąd miała życzliwą minę.

O wszystko szczegółowo wypytywała; przede wszystkim chciała wiedzieć, czy Ingrid nie bała się szaleńca.

— Ależ nie, w ogóle nie był groźny. Ani obłąkany. Umiał i kupić, i sprzedać. Był tylko przerażony.

Najtrudniej było Ingrid opowiedzieć, co usłyszała od przybranej matki. Ale szczerze wszystko opisała — mimo łez napływających do oczu.

Stava podeszła do niej, odsunęła jej chustkę i spojrzała dziewczynie w oczy. Po czym poklepała ją po policzku i rzekła:

— To może panienka pominąć, jeśli chce! Nie muszę wiedzieć wszystkiego. A teraz mi wybaczyć, muszę zanieść kawę jaśnie pani. Zaraz wrócę, by usłyszeć ciąg dalszy.

Po powrocie oznajmiła, że opowiedziała radczyni o młodziutkiej dziewczynie, która leżała w grobie. Teraz pani chce ją zobaczyć.

Poprowadzono je schodami na górę, do saloniku jaśnie pani.

Anna Stina zatrzymała się przy drzwiach eleganckiego pokoju, lecz Ingrid nie czuła się skrępowana. Natychmiast podeszła do starszej pani i chwyciła ją za rękę. Mogła być nieśmiała wobec innych, mających mniej dostojny wygląd, ale w tym domu się nie wstydziła. Czuła jedynie nieskończoną radość, że tu przyszła.

— A oto i nasze dziecko, co to ją pochowali — odezwała się pani, życzliwie kiwając głową. — Czy zechcesz być tak miła i opowiedzieć mi swą historię? Widzisz, siedzę tu sama i o niczym nie wiem.

I Ingrid zaczęła na nowo opowiadać. Nie doszła jednak daleko, gdy jej przerwano. Jaśnie pani zareagowała zupełnie jak wcześniej panna Stava. Wstała, odsunęła jej chustkę i spojrzała w oczy.

— Tak, tak — jaśnie pani mówiła do siebie. — Rozumiem to. Rozumiem, że usłuchał takich oczu.

Po raz pierwszy w życiu Ingrid została pochwalona za odwagę. Radczyni uznała, że jest bardzo dzielna, skoro zaufała obłąkanemu.

Oczywiście, że się bała, ale bardziej tego, że ludzie zobaczą, jak wygląda. A on wcale nie wydawał się groźny, był wręcz mądry. I taki dobry.

Jaśnie pani chciała poznać jego imię, ale Ingrid go nie знаła. Słyszała jedynie, że wołają na niego „Kozioł”.

Kilka razy radczyni dopytywała, jak się zachowuje, gdy przychodzi sprzedawać. I czy ona się z niego nie śmiała, czy nie uważała, że ten Kozioł wygląda potwornie. Dziwnie było usłyszeć słowo „Kozioł” w ustach jaśnie pani. Wypowiadała je z nieskończoną kąśliwością, a jednak raz po raz je powtarzała.

Nie, Ingrid zaprzeczyła. Nie zwykła naśmiewać się z nieszczęśników.

Radczyni wyglądała łagodniej, niż można by sądzić po jej słowach.

— Nasze dziecko musi faktycznie mieć zrozumienie dla obłąkanych — rzekła. — To wielki dar. Większość z nas boi się tych biedaków.

Wysłuchiwała Ingrid do końca, po czym się zamyśliła.

— Ponieważ dziewczyna nie ma innego domu — powiedziała — zapraszam ją, by u mnie zamieszkała. Żyję tu sama, stara kobieta, a ona będzie mi towarzyszyć. Zadbam, by miała to, czego potrzebuje. Czy to cię zadowala, moje dziecko? Przyjdzie czas — ciągnęła — że trzeba będzie powiadomić rodziców, żeś żywa, ale na razie zostawimy to tak, jak jest, byś mogła odzyskać spokój. I możesz mi mówić „ciotko”, moje dziecko. A jak mam do ciebie się zwracać?

— Ingrid, Ingrid Berg.

Spotkanie, Radość

Dom

— Ingrid... — Jaśnie pani wpadła w zadumę. — Chciałabym mówić do ciebie inaczej. Jak tylko tu weszłaś, z oczami jak gwiazdy, pomyślałam, że powinnaś mieć na imię „Mignon”.

Kiedy dziewczyna zrozumiała, że znalazła prawdziwy dom, na nowo poczuła pewność, że przyprowadziły ją tu jakieś nadnaturalne moce. Wyszeptała podziękowania swemu niewidzialnemu stróżowi, po czym zwróciła się z wyrazami wdzięczności do radczyni, panny Stavy i Anny Stiny.

*

Ingrid leżała w łóżku z baldachimem, rozkołysana w falach pierzyn. Było ono wysokie na półtora łokcia; pościel i jedwabna kołdra z szerokim na kciuk haftem, a na nim szwedzkie korony i francuskie lilie. Łóżko było tak szerokie, że mogła leżeć, jak tylko chciała, wzdłuż albo w szereg, i tak wysokie, że wchodziło się nań po dwóch schodkach. W górze, u sufitu tkwił amorek, który zrzucił barwne zasłony, a na kolumnach przy łóżku siedziały inne amorki, unoszące draperię, układającą się w festony.

W tej samej komnacie znajdowała się stara, masywna komoda z drzewa cytrynowego — z niej Ingrid mogła wyciągać tyle białej, pachnącej pościeli, ile tylko zapagnęła. Była tam także szafa z mnóstwem pięknych, barwnych sukni z jedwabiu i muszliny; te, wisząc, zastanawiały się, którą z nich dziś włożyć.

Gdy się budziła, znajdowała obok łóżka kawę na tacy, z której połyskiwało srebro i zamorska porcelana. Każdego poranka zanurzała białe ząbki w puszystym, jasnym chlebie pszennym i wybornym cięście migdałowym. Codziennie ubierała się w lekką, muszlinową sukienkę, na plecach związaną przepaską. Włosy układano jej wysoko, a na czoło spadał wianuszek loczków.

Na ścianie między oknami miała lustro o cienkim szkłe i grubej ramie, w którym mogła się przeglądać; kiwając głową w stronę wizerunku, pytała: „Czy to ty, czy to naprawdę ty? Jak się tu znalazła?”.

Za dnia, opuściwszy komnatę z baldachimowych łóżem, przesiadywała w saloniku. Haftowała lub malowała na jedwabiu, a gdy się tym znużyła, grywała na gitarze, śpiewała piosenki i gawędziła z radczynią, która nauczyła ją mówić po francusku i — zachwycona — chowała ją na wytworną damę.

Zamek, do którego przybyła dziewczyna, był zaczarowany. Od tej myśli nie dało się uciec. Już w pierwszej chwili odniosła takie wrażenie i wciąż do niej powracało.

Nikt tam nie przychodził i nikt stamtąd nie wychodził. W wielkim domu dbano tylko o parę pokoi. Reszta stała nietknięta. Nikt nie przechadzał się po ogrodzie, nikt się oń nie troszczył. W gospodarstwie pracował tylko jeden parobek i staruszek, który rąbał drewno. A panna Stava miała jedynie dwie służące — pomagały jej w kuchni i w oborze.

Jednak na stole zawsze stało wykwintne jedzenie, jaśnie pani i Ingrid miały wszystko podane i ubierały się jak wytworne damy.

Nawet jeśli w starym majątku nic nie rosło, było to miejsce o glebie stworzonej do zasiania marzeń. I choć nie uprawiano tam żadnych roślin, Ingrid była tą, która troszczyła się o swoje wyobrażone róże. Rozkwitały wokół niej, gdy tylko znalazła samotną chwilę. Zdawało jej się wówczas, że czerwone pąki tworzą nad nią baldachim.

Dookoła wysepki — tam, gdzie drzewa chyliły się ku wodzie, długie gałęzie wyginały się nad trzcinami i rosły bujne krzewy — biegła ścieżka, po której Ingrid często spacerowała. Dziwiła się, oglądając drzewa z literami wrytymi w korze, stare ławki, miejsca odpoczynku i kilka zrujnowanych altanek — tak przegniłych, że nie śmiała do nich wchodzić.

Że też byli tu kiedyś ludzie, że też było życie, pasja i miłość, nie zawsze był to jedynie zaczarowany zamek...

Na brzegu tę magię czuć było najsilniej. To tutaj przychodziła do Ingrid owa uśmiechnięta twarz. Tu mogła chodzić i dziękować studentowi, bo to on przyprowadził ją w miejsce, gdzie była szczęśliwa, gdzie ją kochano i pozwolono jej zapomnieć, jak surowo była wcześniej traktowana.

Gdyby nie on tak tym wszystkim pokierował, za nic nie mogłaby tu zostać, za nic.

Dwór, Zamek, Czary,
Marzenie

Była całkowicie pewna, że to dzięki niemu. Nigdy wcześniej jej myśli nie były tak nieokiełznane; zawsze o nim myślała, ale nigdy przedtem nie czuła, że jest tuż przy niej, że zaopiekował się nią.

Zastanawiała się jedynie, kiedy do niej przyjdzie. Bo przyjdzie z pewnością. Niemożliwe, żeby nie przyszedł. W tej alejce zostawił cząstkę swej duszy.

*

Minęło lato, a potem jesień. Zbliżało się Boże Narodzenie.

— Panienko Ingrid! — pewnego dnia odezwała się tajemniczym tonem panna Stava. — Myślę, że powinna panienka wiedzieć, iż panicz, właściciel tego majątku, odwiedzi nas w święta. Przynajmniej dotąd zawsze odwiedzał — dodała z westchnięciem.

— Ach, jasnie pani nawet nie wspomniała, że ma syna! — zdziwiła się Ingrid.

Nie poczuła jednak ani krzty zdumienia. Chciała raczej rzec, że od początku o tym wiedziała.

— Nikt panience o tym nie wspomniał, bo jasnie pani zakazała o nim mówić.

Więcej panna Stava nie chciała wyjawić.

A Ingrid nie dopytywała. Lękała się poznać prawdę. Tak ogromnie rozbudziła swe nadzieje, że teraz bała się, by nie prysły. Dobrze byłoby wiedzieć, jaka jest prawda, ale ta mogła także okazać się gorzka i zniszczyć cudowne marzenia.

Poza tym on był przy niej teraz i w dzień, i w nocy. Ledwie znajdowała czas, by porozmawiać z kimś innym. Wciąż pragnęła być tylko z nim.

Pewnego dnia zauważyła, że z alei odgarnięto śnieg. Niemal się wystraszyła. Czy to teraz przyjedzie?

Nazajutrz jasnie pani od rana siedziała przy oknie i spoglądała na drogę. Ingrid zatrzymała się w głębi pokoju. Do okna nie śmiała się zbliżyć.

— Czy Ingrid wie, kogo wyczekuję? — spytała nagle radczyni.

Dziewczyna skinęła głową; nie ufała swemu głosowi, nie miała odwagi się odezwać.

— Czy panna Stava mówiła, że mój syn jest dość dziwny?

Ingrid zaprzeczyła ruchem głowy.

— Jest bardzo dziwny, on... Nie, nie mogę o tym mówić, nie mogę. Sama Ingrid zobaczy.

Słowa te rozdzierały serce. Mocno wstrząsnęły Ingrid. Co też kryje się w tym miejscu, że wszystko jest tu tak osobliwe? Coś potwornego, o czym nie wiedziała? Czy radczyni i jej syn stali się wrogami? O co mogło chodzić?

W jednej chwili promieniała radością, w kolejnej drżała z rozpacz! Musiała przywołać wszystkie swoje fantazje, by znowu poczuć, że to musi być on.

Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego z taką pewnością wierzyła, że to on jest synem radczyni. Z tego, co tu usłyszała, był to raczej ktoś inny. Boże, jakie to trudne... Że też nigdy nie wymówiono jego imienia.

Dzień ciągnął się w nieskończoność. Połączone wspólnym, długim milczeniem czekały aż do wieczora.

Podjechał parobek z zapasem drewna na święta; koń został na podwórku, gdy wyładowano polana.

— Ingrid — rzekła jasnie pani nieoczekiwanie rozkazującym tonem. — Biegnij do Andersa i powiedz, żeby odprowadził konia. Już! Już!

Dziewczyna zbiegła po schodach na werandę, lecz nie zdążyła zawołać parobka. Za stosem drewna dojrzała wysokiego mężczyznę w białym futrze i z wielkim worem na plecach. Nie musiała już patrzeć, jak przystanął i dygał, żeby go rozpoznać.

— Ale, ale...

Przyłożyła dłoń do czoła, oddychała gwałtownie. Jak miała to wszystko rozumieć? Czy to ze względu na niego jasnie pani posłała ją na dół? A parobek, czemuż tak szybko odprowadzał konia? I dlaczego zdjął czapkę, żeby się przywitać? Co wspólnego z szaleńcem mieli mieszkańcy majątku?

I wtedy cała prawda dotarła do Ingrid, druzgocąc jej serce z taką siłą, że niemal krzyknęła. To nie ukochany nad nią czuwał. To ten obłąkaniec. Pozwolono jej zostać, bo dobrze o nim mówiła. Bowiem jego matka pragnęła dopełnić dobry uczynek, który on rozpoczął!

Gość, Święto, Gospodyni,
Syn

Tajemnica, Prawda

Nadzieja

Prawda, Szaleńiec

Ten Kozioł — to był młody panicz.

A do niej nikt już nie przyjdzie, nikt jej nie poprowadzi i nikt na nią nie czeka. To były marzenia, wymysły, omamy.

Och, jakże gorzka to prawda! Gdyby tylko tak długo na niego nie czekała!

Jednak w nocy, gdy Ingrid leżała w łóżu z baldachimem, pod barwnymi zasłonami, wciąż śniło jej się, że widzi studenta, wracającego do Munkhyyttan. „To nie ty przyszedłeś do domu”, rzekła. „Oczywiście, że ja”, odpowiedział. I we śnie całkowicie mu uwierzyła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Minęło kilka dni od Bożego Narodzenia. Ingrid haftowała przy oknie w saloniku. Jaśnie pani siedziała na kanapie z robótką jak co dzień. W pokoju panowała cisza.

Młody Hede był w Munkhyyttan od tygodnia. Przez cały ten czas Ingrid go nie spotkała. Nawet w swoim domu żył jak chłop — sypiał w chałupie parobka i jadał w kuchni. Nigdy nie odwiedzał matki.

Ingrid wiedziała, że i radczyni, i panna Stava liczą na to, że ona zrobi coś dla Hede, że przynajmniej będzie go namawiać do pozostania w domu. Męczyło ją, że nie potrafi spełnić tych oczekiwań. Rozpaczła nad własną niemocą, która ją dopadła, gdy rozpierzchły się jej nadzieje.

Tego dnia panna Stava przyszła z wiadomością, że Hede właśnie pakuje swój bagaż, by wyruszyć w drogę. Nie zostanie tak długo jak zazwyczaj podczas odwiedzin świątecznych. Powiedziawszy to, rzuciła Ingrid spojrzenie pełne wyrzutu.

Dziewczyna rozumiała doskonale, czego od niej chciano, lecz nie była w stanie temu sprostać. Bez słowa wróciła do pracy.

Panna Stava wyszła, a w pokoju znów zapanowała cisza. Ingrid całkiem zapomniała, że nie jest tu sama; niespodziewanie zapadła w półsen, a wszystkie jej smutne myśli ułożyły się w malowniczy obraz.

Wyobrazila sobie, że wędruje przez ten wielki dom. Szła przez mnóstwo sal i pomieszczeń, w których meble przykryto szarym płótnem, pod tiulem znajdowały się obrazy i żyrandole z kryształu, a na podłogach leżała gruba warstwa kurzu, który unosił się pod jej stopami. Aż w końcu doszła do komnaty, w której nigdy wcześniej nie była, niewielkiego pokoju o czarnych ścianach i czarnym suficie. Lecz gdy się przyjrzała uważniej, okazało się, że pomieszczenia nie pomalowano na czarno ani nie przykryto czarną zasłoną, było w nim tak ciemno, bo z sufitu i ścian zwisały nietoperze — cała komnata było wielkim gniazdem mroczków¹⁴. Szyba w jednym z okien była wybita, wiadomo więc, jak się tu dostały w tak niewiarygodnej liczbie, że przykryły wszystko. Wisiały pogrążone w śnie zimowym; żaden się nie ruszał, weszła zatem do środka.

Ogarnęła ją jednak takie przerażenie, że zaczęła się trząść. Okropny był obraz tej masy zwierząt, które tak wyraźnie widziała. Wszystkie owinięły się czarnymi skrzydłami niczym płaszczem, wszystkie wbiły w ścianę jeden długi pazur i na nim zawisły, śpiąc nieruchomym snem.

Było to tak wyraźne, że zaczęła się zastanawiać, czy panna Stava wie o tym pokoju, opanowanym przez nietoperze.

W myślach Ingrid poszła teraz do niej z pytaniem, czy była tam i czy widziała wszystkie te zwierzęta.

— No pewnie, że widziałam — odparła panna Stava. — To ich pokój. Panienska Ingrid chyba wie, że w całym kraju nie ma starego dworu, w którym nie zostawiają pokoju dla nietoperzy.

— Nigdy o tym nie słyszałam — rzekła Ingrid.

— Jak panienska będzie już na tym świecie tak długo jak ja, to zobaczy, że mówię prawdę.

— Nie potrafię zrozumieć, że ludzie mogą ścierpieć coś podobnego — powiedziała Ingrid.

— Musimy — westchnęła Stava. — Należą do pani Żal, a ona nakazała nam je przyjąć.

Sen, Zwierzęta

Tajemnica

¹⁴mroczek — tu: rodzaj nietoperza. [przypis edytorski]

Ingrid widziała, że panna Stava nie chce już o tym rozmawiać. Ponownie usiadła do haftu, ale nie mogła przestać rozmyślać, kim jest ta pani Żal, która ma tu taką moc, że umie zmusić pannę Stavę do oddania całego pokoju nietoperzom.

I w tym momencie dostrzegła, jak czarne sanie, ciągnięte przez czarne konie, podjeżdżają do werandy.

Widziała, jak panna Stava wychodzi i nisko się kłania. Z sań wysiadła stara dama w długim, czarnym, aksamitnym płaszczu z warstwami kołnierzy na ramionach. Była zgarbiona i z trudem się poruszała. Z wysiłkiem unosiła nogi, by wejść po schodach.

— Ingrid — odezwała się radczyni znad robótki — zdaje się, pani Żal zajechała przed dom. Z pewnością to jej dzwoneczek zadzwieczętał. Zauważyłaś, że ona nie ma dużych dzwoneczków przy końskich uzdach, tylko jeden maleńki? Ale go słysząc, ach, jakże go słysząc. Zejdź na ganek, Ingrid, i zaprosz panią Żal do środka!

Kiedy Ingrid zeszła na dół, pani Żal rozmawiała z panną Stavą na werandzie. Nie zauważyły dziewczyny.

Ze zdziwieniem Ingrid dostrzegła, że coś się kryje pod kołnierzami garbatej staruszki, coś jak kir¹⁵. Było to dobrze schowane. Dziewczyna wyteżyła wzrok i zobaczyła parę wielkich mroczkowych skrzydeł, które w ten sposób tamta próbowała ukryć. Teraz pani Żal zaintrygowała dziewczynę jeszcze bardziej. Ingrid chciała zobaczyć jej twarz, lecz starsza pani rozglądała się po podwórzu, zwrócona do niej tyłem. Za to gdy wyciągnęła do Stawy rękę, dziewczyna dojrzała, że jeden palec jest dużo dłuższy od pozostałych i zakończony wygiętym szponem.

— Nic się tu nie zmieniło w obejściu — odezwała się.

— Nic, miłościwa pani — odparła panna Stava.

— Nie posialiście tu żadnych kwiatów, nie przesadzaliście drzew? Nie naprawiliście mostu, nie plewiliście alei?

— Nie, miłościwa pani.

— Jest zatem tak, jak powinno być — powiedziała staruszka. — Nie szukaliście aby rudy i nie ośmieliliście się wycinać lasu, który zaczął wciskać się na pola, prawda?

— Nie, miłościwa pani.

— I nie czyściliście studni?

— Nie czyściliśmy studni.

— To dobre miejsce — rzekła pani Żal — odpowiada mi. Za kilka lat będzie tu tak, że moje ptaszyska zamieszkają cały dom. Jest panna dla nich przemiła.

Stava dygnęła pokornie na tę pochwałę.

— A co poza tym słysząc w majątku? — spytała pani Żal. — Jak minęły święta?

— Święta minęły jak dawniej — odparła panna Stava. — Jaśnie pani całymi dniami dzierga, myśli tylko o synu i nie wie, że jest Boże Narodzenie. Wigilię świętowaliśmy jak każdy zwykły dzień. Żadnych prezentów i żadnych świeatek.

— Ani choinki, ani świątecznych potraw?

— Nie pojechaliśmy do kościoła, miłościwa pani, nawet świeczek nie wystawiliśmy w oknach nad ranem.

— Dłaczegóż pani radczyni miałyby świętować narodziny Syna Bożego, skoro Bóg nie raczy uleczyć jej własnego dziecka? — skwitowała pani Żal.

— To racja, nie ma powodu.

— Rozumiem, że syn w domu. Może już mu lepiej?

— Nie, nie jest mu lepiej. Jest wciąż przerażony.

— I nadal żyje jak chłop, nie wchodzi na pokoje?

— Nie chce wejść na pokoje, boi się jaśnie pani, jak miłościwa pani wie.

— Jada w kuchni i sypia u parobka?

— Tak.

— I nie macie pojęcia, jak mu pomóc?

— Nic nie wiemy, niczego nie rozumiemy.

Pani Żal przez chwilę milczała. Gdy znów się odezwała, ton jej głosu był bardziej surowy.

Gość

Szaleniec, Szaleństwo

¹⁵kir — czarny materiał symbolizujący żałobę. [przypis edytorski]

— Wszystko wygląda wyśmieniecie, panno Stavo, a jednak nie mogę panny w pełni pochwalić.

W tym samym momencie odwróciła się i rzuciła groźne spojrzenie na Ingrid.

Dziewczyna wzdygnęła się. Pani Żal miała małą, pomarszczoną twarz, ściśniętą u dołu tak, że zuchwy prawie nie było widać. Jej zęby przypominały ostrze piły, nad wargą miała liczne włoski, brwi zbite w kołtun, a cerę całkiem brunatną.

Ingrid zastanawiała się, czy panna Stava nie widzi tego, co ona zobaczyła. Pani Żal nie była człowiekiem. Była zwierzęciem.

Dostrzegłszy Ingrid, pani Żal rozchyliła wargi, aż zęby błysnęły.

— A ta skąd się tutaj wzięła? — zwróciła się do Stavy. — Sądziłyście, że jest wysłanniczką. W jej oczach zobaczyłyście kogoś, kto uzdrowi panicza. Dziewczyna dobrze radzi sobie z szaleńcami. No, i jak poszło?

— Niezbyt dobrze. Nic nie uczyniła.

— Zadałam o sprawę — wyjaśniła pani Żal. — To moja zasługa, żeście się nie przyznały, dlaczego wolno jej zostać. Gdyby wiedziała, nie robiłaby sobie płonnych nadziei, że spotka ukochanego. Gdyby nie robiła sobie nadziei, nie poczułaby tak wielkiego rozczarowania. A gdyby nie rozczarowanie, które ją sparaliżowało, może uczyniłaby coś dla tego szaleńca. A tak nawet nie spojrzysz w jego stronę. Nienawidzi go, bo nie jest tym, kim miał być. To moje dzieło, panno Stavo, moje dzieło.

— Miłosierna pani zna się na rzeczy — przyznała panna Stava.

Pani Żal wyjęła koronkową chusteczkę i wytarła zaczerwienione oczy. Wydawało się, że gest ten wyraża uciechę.

— Nie musi panna udawać — rzekła. — Nie podoba jej się, że moje ptaszyska zajmują cały pokój. Nie podoba jej się, że wkrótce zajmą cały dom. Wiem o tym. Ona i jej pani chciały mnie przechytrzyć. Ale przepadło...

— Tak — przytaknęła panna Stava — miłościwa pani może być spokojna. Przepadło. Panicz dziś odchodzi. Spakował swój wór, z pewnością już jest w drodze. To, o czym jaśnie pani i ja marzyliśmy przez całą jesień, przepadło. Dziewczyna nie zrobiła nic. Sądziłyśmy, że chociaż przekona go, by został w domu; lecz mimo całej dobroci, którą jej okazałyśmy, nic dla nas nie uczyniła.

— Tak, wiem, nie było z niej pożytku — powiedziała pani Żal. — W każdym razie musi stąd odejść. O tym właśnie chcę pomówić z jaśnie panią.

Pani Żal zaczęła wspinać się na chwiejnych nogach na piętro. Z każdym krokiem lekko unosiła skrzydła, jakby pomagając tym sobie. Z pewnością wolałaby pofrunąć.

Ingrid poszła za nią. W jakiś osobliwy sposób była nią oczarowana. Gdyby to była najpiękniejsza kobieta na świecie, nie podążałaby za nią chętniej.

Gdy weszła do saloniku, pani Żal siedziała na kanapie obok radczyni i szeptała do niej w zaufaniu, jak gdyby były drogimi sobie, starymi przyjaciółkami.

— Rozumiesz chyba, że nie powinnaś jej u siebie zatrzymać — stanowczo rzekła pani Żal. — Ty, która nie znosisz, kiedy w ogrodzie rośnie choćby jeden kwiat, nie możesz pozwolić, by po twoim domu chodziło młode dziewczę. Za taką idzie zawsze jakaś radość, uciecha. Tobie to nie może odpowiadać.

— Nie, właśnie nad tym rozmyślam.

— Zdobądź dla niej miejsce damy do towarzystwa gdzie indziej, ale tu jej nie trzymaj! Wstała, by się pożegnać.

— Tylko to chciałam ci powiedzieć. Jak się masz poza tym?

— Ostrza wwiercają mi się w serce — odparła radczyni. — Dopóki jest w domu, żyję tylko dla niego. Jest gorzej niż zwykle, tym razem o wiele gorzej. Już nie daję rady.

Ingrid podskoczyła; to dzwonek radczyni zadźwięczał nagle. Dziewczyna siedziała, fantazując tak żywo, że teraz zdziwiła się, iż jaśnie pani jest sama, a czarne sanie nie stoją przed wejściem.

Jaśnie pani dzwoniła, by wezwać pannę Stavę, lecz ta nie przychodziła. Poprosiła więc Ingrid, by zeszła ją zawołać.

Dziewczyna zastała niebieski pokój pusty. Chciała zapytać w kuchni, gdzie jest gosposia, ale nim otworzyła drzwi, usłyszała Hedego. To ją zatrzymało, nie śmiała wejść i go spotkać.

Człowiek, Zwierzę, Potwór

Podstęp

Próbowała jednak stoczyć walkę sama ze sobą. To nie jego wina, że nie był tym, na kogo czekała. Chciała dla niego coś zrobić. Trzeba go przekonać, by został w domu. Wcześniej nie odczuwała wobec niego niechęci. W ogóle jej nie przerażał.

Schyliwszy się, zajrzała przez dziurkę od klucza.

Hede siedział przy stole i jadł. Wyglądało to zupełnie zwyczajnie. Służące naśmiewały się z niego, by usłyszeć jego dziwną mowę.

Pytały, z kim się teraz ożeni.

Uśmiechnął się, lubił być o to pytany.

— Na imię ma Cmentarna Lilia, wiesz przecież.

Nie, służąca nie wiedziała, że ma tak pięknie na imię.

— No, a gdzie ona mieszka?

— Ona nie ma domu, nie ma gospodarstwa — powiedział Hede. — Mieszka w moim worze.

Służąca uznała, że to miły dom, i zapytała o jej rodziców.

— Ona nie ma ojca ani matki — powiedział Hede. — Jest piękna jak kwiat, dorastała w ogrodzie.

Tyle powiedział — dość klarownie, ale gdy chciał opisać urodę narzeczonej, nie potrafił już dojść do ładu. Wymówił mnóstwo słów, lecz te dziwnie się ze sobą plątały. Nie dało się podążać za jego myślą, ale jemu samemu mówienie sprawiało wiele radości. Uśmiechał się promiennie.

Ingrid szybko odeszła. Nie potrafiła tego znieść. Nic nie mogła dla niego uczynić. Odstręczał ją.

Nie uszła dalej niż na szczyt schodów, aż nagle poczuła wyrzuty sumienia. Dano jej tutaj tyle dobra, a ona nie chciała się nijak odwdziżyć.

By zapanować nad swoją niechęcią wobec niego, spróbowała zamienić go w myślach w panicza. Jak dawniej wyglądał, ubrany elegancko, z włosami zaczesanymi do tyłu? Zamknęła oczy, wyobrażając to sobie. To niemożliwe. Nie była w stanie zobaczyć w nim nikogo więcej niż tego, kim był.

W tej samej chwili stanął jej przed oczami kontur ukochanej twarzy. Unosił się z lewej strony, cudownie wyraźne.

Tym razem twarz się nie uśmiechała — usta były wygięte w bólu, a ostre linie w ich kącikach wyrażały straszne cierpienie.

Ingrid patrzyła na nią, stojąc na środku schodów. Twarz była lekka i rozproszona, tak mało uchwytna jak promień słońca, który odbija się od oszlifowanego żyrandola — a jednak widoczna, a jednak prawdziwa. Pomyślała o wizji, jaka ukazała jej się przed chwilą, ale ta była inna. To była rzeczywistość.

Kiedy przez moment patrzyła na twarz, ta zaczęła poruszać ustami; mówiła, chociaż nie wydawała żadnego dźwięku. Wtedy dziewczyna chciała zobaczyć, co mówi, wyczytać słowa z ruchu warg, jak to robią głusi — i udało się jej.

— Nie pozwól mi odejść! — prosiły usta. — Nie pozwól mi odejść!

I ten lęk, z jakim to zostało powiedziane! Gdyby ktoś legł u jej stóp i błagał o życie, nie ujęłoby jej to bardziej. Cała aż drżała ze zdenerwowania. W jej życiu nie przydarzyło się nic bardziej rozdzierającego serce. Nigdy nie sądziła, że można błagać z takim strasznym lękiem.

Raz po raz usta błagały: „Nie daj mi odejść!”, a z każdym razem strach stawał się coraz silniejszy.

Ingrid nie rozumiała niczego; stała w bezruchu, ogarnięta nieopisanym współczuciem.

Uznała, że komuś, kto tak błaga, musi chodzić o coś więcej niż życie — tu idzie o ratunek dla duszy.

Wargi nie poruszały się więcej, półotwarte zastygły w rozpacz.

Kiedy przybrały ten wyraz niemocy, dziewczyna wydała z siebie okrzyk, spadając kilka stopni w dół. Rozpoznała twarz tego szaleńca, taką, jaką przed chwilą widziała.

— Nie, nie, nie! — wykrzyknęła. — Tak być nie może, nie może. To niemożliwe, to nie jest on!

W tej samej chwili twarz zniknęła.

Przez całą godzinę siedziała na zimnych schodach, płacząc z bezsilności. Aż w końcu przyszła nadzieja, jasna nadzieja, która jej ulżyła. Ośmieliła się podnieść głowę.

Konflikt wewnętrzny

Wszystko, co się zdarzyło, wskazywało na to, że go uratuje. Dlatego została tu sprowadzona. Uratuje go swoją wielką radością.

W saloniku jaśnie pani rozmawiała z panną Stawą. Żałośnie brzmiało, gdy prosiła gospozię o przekonanie syna, by został jeszcze dni kilka.

Panna Stava była szorstka.

— Prosić go można — powiedziała — ale jaśnie pani sama wie, że nikt go nie przekonana, by został dłużej, on niż chce.

— Mamy pieniądze. W ogóle nie musi odchodzić. Czy panna Gustava nie może mu powiedzieć...

W tym momencie Ingrid weszła do środka. Drzwi otworzyły się bezdźwięcznie. Sunęła przez pokój lekkim krokiem; oczy jej błyszczały, jakby widziały coś w dali, coś wspólnego.

Gdy jaśnie pani dostrzegła Ingrid, zmarszczyła brwi. Opanowała ją chęć bycia okrutną, sprawienia dziewczynie bólu.

— Ingrid — rzekła — chodź do mnie! Muszę pomówić z tobą o przyszłości.

Dziewczyna wzięła gitarę i już miała wyjść. Odwróciła się do radczyni.

— O mojej przyszłości? — spytała, pocierając czoło. — O mojej przyszłości już zdecydowano — rzuciła z lekkim uśmiechem męczennicy. Po czym po prostu wyszła z pokoju.

Radczyni i panna Stava spojrzały na siebie zdziwione. Zaczęły radzić, dokąd wysłać dziewczynę.

Lecz kiedy panna Stava zeszła do swego pokoju, ujrzała Ingrid, która śpiewała piosenki i grała na gitarze. A Hede, siedzący naprzeciw, słuchał z rozpromienioną twarzą.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Od kiedy Ingrid rozpoznała w szaleńcu Gunnara Hedego, nie myślała o niczym innym, tylko jak go uleczyć. Była to ciężka praca, dziewczyna nie miała pojęcia, jak postępować.

Początkowo zamierzała jedynie namówić go, by został w domu. I to się udało z łatwością. Żeby choć chwilę posłuchać jej gry na skrzypcach albo gitarze, od rana do wieczora czekał na nią cierpliwie w pokoiku panny Stavy.

Ingrid uznała, że dokona czegoś wielkiego, jeśli namówi go na odwiedzenie innych pokoi. Ale zdecydowanie zabrakło mu odwagi. Zamykała się u siebie i mówiła, że już nic nie usłyszy, jeśli do niej nie wejdzie. Po dwóch dniach, gdy pozostawała w ukryciu, on zaczynał pakować wór i wybierać się w drogę, a wtedy musiała się ugiąć.

Upodobał sobie Ingrid, wielbił ją i wyraźnie stawał ponad wszystkich, ale nie umiał przewyciężyć dla niej nawet części swoich lęków.

Prosiła, by zdjął futro i nosił zwyczajny płaszcz. Natychmiast się zgodził, ale już nazajutrz znowu wkładał stare ubranie, więc sama schowała mu futro. Wówczas przyszedł w okryciu parobka. Lepiej, uznała, żeby nosił futro.

Ciągle bardzo się bał; nie pozwalał, by ktokolwiek się zbliżył. Nawet Ingrid nie wolno było przy nim siedzieć.

Pewnego dnia oznajmiła mu, że teraz musi jej coś obiecać. Przestanie dygać przed kotem. Nie prosiła go o coś tak trudnego, jak zaprzestanie ukłonów przed koniem czy psem — ale kot chyba nie jest mu tak straszny.

— Owszem — odparł — kot ten jest kozłem.

— Nie może być przecież kozą ani kozłem — powiedziała. — Brakuje mu rogów.

Ucieszył się z tego. Wreszcie trafił na coś, co odróżnia kozy od innych zwierząt.

Nazajutrz zobaczył kota panny Stavy.

— Ten kozioł nie ma rogów — zaśmiał się, dumny z siebie.

Minąwszy go, usiadł na kanapie, by słuchać muzykowania Ingrid. Lecz już po chwili zaniepokojony wstał, podszedł do kota i dygnął.

Ingrid była zrozpaczona. Chwyliła go za ramię i potrząsnęła. A on ruszył do drzwi i pokazał się dopiero następnego dnia.

— Ach, dziecko — rzekła jaśnie pani. — Robisz tak jak ja, tak samo się starasz. Wystraszysz go, nie będzie chciał na ciebie spojrzeć. Lepiej daj mu spokój. Jest dobrze, jak jest, oby tylko był w domu.

Los

Szaleństwo, Strach

Szaleństwo, Strój,
Przebranie

Nie pozostało nic innego, jak tylko siedzieć i załamywać ręce z rozpaczy, że w tym szaleńcu krył się tak dobry i miły człowiek.

Ingrid chciała jedynie wiedzieć, czy sprowadzono ją tu tylko po to, by wygrywała mu melodie swego dziadka. I tak będzie przez całe życie? Już nigdy to się nie zmieni?

Niekiedy opowiadała mu bajki. Gdy słuchał tych historii, jego twarz potrafiła niespodziewanie zajaśnieć, a czasem mówił jej coś cudownie pięknego. Nikt mądry nie umiałby wymyślić nic podobnego. Więcej nie było jej trzeba — na powrót wstępowała w nią odwaga i znowu wracali do niekończących się prób.

*

Było późne popołudnie, wschodził księżyc. Na ziemi leżał biały śnieg, jezioro pokrywał szary, błyszczący lód. Drzewa stały brunatne, a niebo płonęło czerwienią zachodzącego słońca.

Ingrid wybrała się nad jezioro na łyżwy. Kroczyła wąską ścieżką, wydeptaną w śniegu. Gunnar Hede szedł za nią. Z postawy jego ciała można było wywnioskować, że czuł się przybity — przypominał psa, podążającego za swym panem.

Ingrid była zmęczona. W jej oczach brakło blasku, a cera poszarzała.

Idąc tak, zastanawiała się, czy dzień, który właśnie zniknął, jest z siebie dumny. Czy to z radości wzniecił te wielkie, czerwone płomienie na zachodzie?

Dobrze wiedziała, że ona ani tego dnia, ani żadnego innego nie mogłaby zapalić ogniska, by świętować triumf. Przez cały miesiąc, od kiedy rozpoznała Gunnara Hedego, niczego nie osiągnęła.

A dziś poczuła wielką udrękę. Jak gdyby miała przez to wszystko zmarnować swą miłość. Zapominała o studencie, myśląc wyłącznie o chorym biedaku. Z miłości uleciały lekkość, piękno i radość. Było jej tylko ciężko — ciężko i smutno.

Wędrując w stronę jeziora, kulila się w rozpaczy. Czula, że nie rozumie, co należy zrobić, że musi to wszystko porzucić. „Boże, Boże, on idzie tak za mną, na oko silny i zdrowy, a tak beznadziejnie chory, nieuleczalnie!”

Doszli do jeziora; zaczęła zakładać łyżwy. Chciała i jego zachęcić, więc przywiązała mu płozy, ale gdy tylko wyszedł na lód, przewrócił się. Wczołgał się z powrotem na ląd, usiadł na kamieniu, a ona się oddaliła.

Naprzeciw skalnego brzegu, na którym siedział Gunnar Hede, leżała maleńka wysepka, porośnięta brzozą i osiką, a nad nią świeciło wieczorne niebo, wciąż płonące purpurą. Drobne, lekkie korony drzew unosiły się w tej czerwieni z taką gracją, że trudno było oderwać od nich wzrok.

Zazwyczaj jest tak, że miejsce identyfikuje się ze względu na jakiś konkretny, charakterystyczny element, bo nawet to, które zna się doskonale, może wyglądać zupełnie odmiennie z innej perspektywy. Munkhyttan dało się rozpoznać po tej szczególnej, maleńkiej wysypce. Nawet jeśli nie widziało się posiadłości przez wiele lat, i tak nie można jej było pomylić z niczym innym, gdy się patrzyło na ten niewielki kawałek lądu, który teraz wyciągał swe ciemne korony w stronę zmierzchu.

Hede siedział w bezruchu i spoglądał na wysepkę, na lekkie gałęzie drzew i na szary lód, rozciągający się z każdej strony.

Był to widok najbardziej znajomy. Niczego innego w majątku nie znał tak dobrze. Ta mała wysępka zawsze przyciągała spojrzenia. Wpatrywał się w nią teraz, nawet o tym nie myśląc — jak to bywa na widok czegoś dobrze znanego. Długo siedział tak wpatrzony; nic mu nie przeszkadzało, ani człowiek, ani wiatr, ani nic obcego. Nie widział Ingrid, która sunęła daleko po lodzie.

W Gunnara Hedego wstąpił taki spokój, jaki się czuje jedynie, będąc u siebie. Z wysępki płynęły ku niemu cisza i poczucie bezpieczeństwa. Widok ten uspił dawne lęki, które go dręczyły.

Zdawało mu się zawsze, że znajduje się wśród wrogów, że musi się przed nimi chronić. Przez lata nie zaznał spokoju, który pozwoliłby mu o tym zapomnieć, a teraz spłynęło nań ukojenie.

Gdy tak siedział, o niczym nie myśląc, zaczął mechanicznie wykonywać określone ruchy, jakie zwykle robi się w takich okolicznościach. Przed sobą miał lód, na nogach

Zwątpienie

Pamięć, Wspomnienia,
Bezpieczeństwo

Przemiana, Zabawa, Pamięć

łyżwy; wstał i ruszył po tafli. Nie myślał o tym w ogóle — jak jedząc, nie myśli się o widelcu czy łyżce.

Sunął w dal po jeziorze, lód był idealny na łyżwy. Znajdował się już daleko od ładu, gdy zorientował się, co robi.

„Wspaniały ten lód”, pomyślał. „Ciekawe, dlaczego wcześniej nie jeździłem.”

„Będę przychodził tu codziennie”, pocieszał się. „Nie wolno zmarnować ani jednego dnia, dopóki mam ferie.”

Ponieważ Gunnar Hede przedsięwziął coś, co, zanim zachorował, robił zazwyczaj, nastąpiła przemiana; to dlatego obudziło się w nim dawne „ja”. Myśli i obrazy, należące do przeszłego życia, zaczęły wdzierać się do jego świadomości. Jednocześnie te związane z chorobą tonęły w zapomnieniu.

Tak jak zawsze, gdy jeździł na łyżwach, zatoczył koło po całym jeziorze, by zajrzeć za wysunięty cypel. Zrobił to nieświadomie, lecz kiedy znalazł się po drugiej stronie, wiedział, że zakręcił, by zobaczyć światło w oknie matki.

„Z pewnością uważa, że już czas wracać. Niech jeszcze chwilkę poczeka. Lód jest wspaniały.”

Budziło się w nim nieokreślone uczucie radości z ruchu i urokliwego wieczoru. To właśnie w taki księżycowy wieczór należy wybrać się na łyżwy. Lubił to łagodne przechodzenie dnia w noc. Światło jeszcze nie znikło, ale spokój już nadszedł. Najlepsze, co jest w nocy i w dniu!

Na lodzie była jeszcze jedna łyżwiarka, młodzianka dziewczyna. Nie wiedział, czy ją zna, ale sunął w jej stronę, by sprawdzić. Nie, to nie jest znajoma, lecz gdy się zbliżył, nie potrafił powstrzymać się od powiedzenia paru słów o tym, jaki dziś doskonały do jazdy lód.

Obca musiała być dziewczyną z miasta; nie przywykła, by ktoś tak po prostu ją zaczepiał. Wyglądała na przerażoną, gdy ją zagadnął. Poza tym był dziwacznie ubrany. Miał na sobie chłopskie odzienie.

Nie chciał straszyć dziewczyny. Zawrócił i wyjechał na środek jeziora. Lód był na tyle rozległy, że starczy dla dwojga.

Ingrid omal nie krzyknęła ze zdziwienia. Podjechał elegancko, ramiona skrzyżował na piersi, rondo czapki odwinął, a włosy zarzucił do tyłu, by nie zasłaniały uszu.

Mówił jak człowiek wykształcony, niemal bez dalarskiego akcentu.

Nie mogła dłużej czekać. Zaraz zjechała na łąd.

Ziajana wpadła do kuchni. Nie wiedziała, jak to powiedzieć krótko i jasno.

— Panno Stavo, panicz wrócił do domu!

W pomieszczeniu było pusto, Stava, i służące wyszły. W pokoiku gosposi też nikogo nie znalazła. Ingrid popędziła przez cały dom, wchodząc do komnat, w których nikt nigdy nie był. Bez przerwy wołała: „Panno Stavo, panno Stavo, panicz wrócił do domu!”

Znalazła je na piętrze. Niemal oszalała w otoczeniu służących, panny Stavy i samej radczyni, nie przestawała krzyżeć. W kółko powtarzała to samo, zbyt roztrzęsiona, by móc zamilknąć.

Żadna z pozostałych kobiet nie zrozumiała jej opacznie. Wszystkie cztery były bliskie utraty zmysłów, podobnie jak ona: drżące twarze, dygoczące ręce.

Ingrid w rozpaczy zwracała się to do jednej, to do drugiej. Powinna coś wyjaśnić, coś rozkazać — ale co takiego? Ach, że też rozum ją zawiódł. Z zapytaniem w oczach spojrziała na radczynię. „Co to było, czego ja chciała?”

Stara pani wydała kilka poleceń niskim, rozedrganym głosem. Prawie że szeptała.

— Światło, rozpalic w kominku w komnacie panicza! Jego odzienie trzeba wyłożyć!

Nie pora była teraz, by panna Stava się pyszniła. Lecz i tak z pewną dumą w głosie odrzekła:

— W komnacie panicza codziennie jest rozpalone. A jego odzienie zawsze na niego czeka.

— Ingrid pójdzie do siebie — rzekła jaśnie pani.

Dziewczyna zrobiła rzecz wprost przeciwną. Weszła do salonu i stanęła przy oknie; łkała rozedrgana, nie wiedząc, że ją słyhać.

Wieczór

Przemiana, Powrót

Niecierpliwie otarła łzy z oczu, by móc widzieć zaśniewoną polanę przed domem. Jeśli nie będzie płakać, nic jej nie umknie w ostrym blasku księżyca. I nadszedł.

— Tam, tam — wołała do jaśnie pani. — To on, idzie szybko, biegnie! Proszę podejść i zobaczyć.

Radczyńni usiadła przy kominku. Nie poruszyła się. Siłiła się, by usłyszeć, tak jak tamta, żeby zobaczyć.

Prosiła, by dziewczyna zamilkła — chciała usłyszeć, jak wchodzi. Tak, tak, Ingrid już będzie cichutko. Jaśnie pani usłyszy, jak idzie. Mocno chwyciła parapet, jak gdyby to miało jej pomóc.

— Masz być cicho — szeptala do siebie — by jaśnie pani słyszała, jak wchodzi.

Jaśnie pani, pochylona w przód, nasłuchiwała całą duszą. Czyżby słyszała już jego kroki na podwórzu? Ingrid wiedziała, że jaśnie pani nie przejdzie nawet przez myśl, by on mógł wejść inaczej niż przez kuchenne drzwi. Czy słyszy teraz, że skrzypią główne schody? Że otwierają się drzwi do dużej sieni? Słyszy, jak prędko wspina się na górę? Po dwa, trzy stopnie! Czy jego matka to słyszy? Nie były to powłóczyste, chłopskie kroki, jak wtedy, gdy wychodził.

Brzmiały wręcz nieco groźnie, gdy zbliżał się do drzwi salonu. Z pewnością obie wydałyby okrzyk zgrozy, gdyby nagle wszedł.

Ale on zawrócił i ruszył do swego pokoju.

Radczyńni opadła na fotel i zamknęła oczy. Ingrid przyszło na myśl, że jaśnie pani chciałaby teraz umrzeć.

Nie otwierając oczu, wyciągnęła rękę. Ingrid podeszła i chwyciła dłoń, a radczyńni przyciągnęła dziewczynę do siebie.

— Mignon, Mignon — powiedziała — jednak to było właściwe imię.

— Nie — mówiła dalej. — Teraz nie czas na łzy. Nie mówmy już o tym. Weź taboret i usiądź przy ogniu! Musimy się uspokoić. Porozmawiajmy o czymś innym. Powinnyśmy być opanowane, gdy do nas przyjdzie.

Hede wszedł po półgodzinie. Herbata stała już na stoliku, a w żyrandolu płonęły świece. Rzeczywiście był przebrany — wyglądał jak panicz. Ingrid i radczyńni mocno ścisnęły dłonie jedna drugiej.

Przećwiczyły, jak się zachować, gdy wkroczy. Według jaśnie pani nie sposób było wyobrazić sobie, co on powie czy zrobi. Zawsze był nieobliczalny. W każdym razie w dwie będą całkowicie spokojne.

Ingrid faktycznie się uspokoiła. Ogarnęło ją poczucie niezmiernej błogości, a to ukoilo łęki. Była jak ktoś, kto unosi się ku cudowności niebios. Beztroska leżała w ramionach aniołów, a te niosły ją coraz wyżej i wyżej.

Na twarzy Hedego nie było widać zmieszania.

— Przychodzę tylko — odezwał się — by powiedzieć, że boli mnie głowa. Muszę zaraz położyć się do łóżka. Poczulem to już na lodzie.

Radczyńni nic nie odrzekła. To było tak oczywiste, a jednak się tego nie spodziewała. Przynajmniej sekundę musiała poświęcić na zrozumienie, że on nie wie o swojej chorobie, że żyje w odległej przeszłości.

— A jednak napiję się najpierw herbaty — powiedział, nieco zdziwiony panującą ciszą.

Radczyńni podeszła do tacy. Spojrzał na nią.

— Czy mama płakała? Taka jest milcząca.

— Rozmawialiśmy o smutnej historii, ja i moja młoda przyjaciółka. — Jaśnie pani wskazała na Ingrid.

— Ach, przepraszam! — powiedział. — Nie zauważyłem gościa.

Dziewczyna weszła w blask światła — tak piękna, jak ktoś przekonany, że w następnym momencie uchylą się przed nim bramy raj.

Przywitał się trochę sztywno. Widocznie nie wiedział, kogo ma przed sobą. Radczyńni przedstawiła Ingrid.

Rzucił jej przelotne spojrzenie.

— Widziałam panienkę Berg przed chwilą na lodzie — oznajmił.

Nic o niej nie wiedział, nigdy przedtem z nią nie rozmawiał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nastąpił krótki okres szczęścia. Gunnar Hede nie był całkowicie zdrowy, ale jego najbliżsi i tak się cieszyli — mogli przynajmniej się ludzić, że jest na dobrej drodze. Duża część jego pamięci zniknęła, nie miał świadomości długich okresów życia, nie potrafił grać na skrzypcach, a cała jego wiedza niemal przepadła; umysł miał tak bardzo słaby, że niechętnie czytał i pisał. Jednak z pewnością czuł się lepiej: nie był przerażony, lubił matkę, odzyskał wygląd i zwyczajnie panicza. Nietrudno się domyślić, że radczyni i pozostali domownicy byli zachwyceni.

Hede był w wybornym nastroju, od rana do wieczora tylko się cieszył, nie wpadał w zadumę, omijał wszystko, czego nie rozumiał, nie rozmawiał o sprawach wymagających myślenia — o reszcie mówił radośnie i z ożywieniem.

Największą przyjemność sprawiał mu ruch. Zabierał Ingrid na sanki i na łyżwiarskie przejażdżki; nieczęsto się do niej odzywał, ale i tak jego towarzystwo sprawiało jej przyjemność. Był dla niej życzliwy, jak wobec wszystkich, lecz nie wydawał się ani trochę zakochany.

Często rozmyślał o narzeczonej, zastanawiając się, dlaczego do niego nie pisze. Lecz i ta troska szybko się ulotniła. Natychmiast odrzącał ponure myśli.

Ingrid była przekonana, że w ten sposób nie może mu się polepszyć. Kiedyś trzeba go będzie zmusić do myślenia, do wejścia w siebie — na co na razie nie miał odwagi. Ale nie śmiała go do tego namawiać — ani ona, ani nikt inny. Gdyby choć trochę ją lubił, myślała, łatwiej byłoby jej się odważyć.

W końcu uznała, że teraz wszystkim potrzeba po prostu odrobinę radości.

*

W tym samym czasie zdarzyło się, że na plebanii w Råglandzie, gdzie Ingrid się wychowała, zmarło małe dziecko, więc grabarz miał przygotować grób.

Chłop zaczął kopać tuż obok miejsca, gdzie ledwie rok temu wybierał grudy, szykując dół dla Ingrid. A kiedy dotarł kilka stóp pod ziemię, odsłonił jej trumnę.

Grabarz uśmiechnął się lekko pod nosem. Nie było siły, by ominęły go słuchy, jakoby leżąca tutaj nieboszczka wstała z grobu i ponoć straszyla. Już w dzień pogrzebu miała rzekomo odkręcić śruby, wyjść z trumny i pokazać się w domu. Wikariuszowa niezbyt dobrze to zniosła, a ludzie z wioski lubili takie opowieści.

Grabarz pomyślał, że gdyby tylko ludzie wiedzieli, jak porządnie grzebie się tutejszych zmarłych i jak dokładnie przykręca...

Tu musiał przerwać swoje rozmyślenia. W rogu, który mu się odsłonił, pokrywa była nieco skrzywiona, a jedna śruba poluzowana.

Nic nie powiedział ani nie pomyślał, ale na moment zaprzestał kopania i odgwiżdzał pobudkę z värmlandzkich koszarów, bo dawniej służył w wojsku.

Uznał, że najlepiej będzie rzetelnie zbadać sprawę. Nie wypadało przecież grabarzowi myśleć o zmarłych, że będą straszyc i w jesiennych ciemnościach odzyskają siły. Pospiesznie wykopał jeszcze trochę ziemi. Po czym postukał w trumnę łopatą.

Trumna odpowiedziała mu bardzo wyraźnie, że jest pusta, puściusienka.

Po półgodzinie był już na plebanii. Wszyscy zastanawiali się nad rozwiązaniem tej zagadki. Zrozumieli jedynie tyle, że dziewczyna zniknęła w worze Dalarczyka. Ale dokąd udała się potem?

Anna Stina stała przy piecu na plebanii. Przyszła pomóc w pieczeniu, bo szykowano nową stypę. Przez długą chwilę bez słowa przysłuchiwała się, o czym mówiono. Pilnowała tylko, by nie przypalić ciasta; blachy wjeżdżały i wyjeżdżały, a że łopata piekarnicza była długa, niebezpiecznie było się zbliżyć. Aż nagle ściągnęła fartuch, z grubsza otarła z twarzy pot i sadzę i nim się zorientowała, już była u wikariusza.

Nic więc dziwnego, że pewnego marcowego dnia niewielkie, czerwone sianie, pomalowane w zielone tulipany i ciągnięte przez małego, rudego konika z plebanii, zatrzymały się przed schodami Munkhyttan.

Rzecz jasna Ingrid musiała wracać do matki. Przyjechał po nią wikariusz. Nie rozprawiał o tym, jak bardzo się cieszy, że dziewczyna żyje. Ale widać było, że jest wielce

Szczęście, Przemiana

Gość, Rodzina, Powrót

uradowany. Nigdy nie umiał sobie wybaczyć, że źle traktowali przybraną córkę, a teraz promieniał ze szczęścia, licząc, że to nowy początek i że tym razem pójdzie im lepiej.

Powód jej ucieczki pozostawiono bez słowa. Po tak długim czasie nie warto było w tym grzebać ani się tym zadrećcać. Jednak Ingrid zrozumiała, jak ten czas musiał być ciężki dla wikariuszowej, jak cierpiała z powodu wyrzutów sumienia i jak bardzo chciała ją mieć w domu z powrotem, by naprawić swe błędy. Pojęła, że wręcz musi pojechać na plebanię, by pokazać przybranym rodzicom, że nie żywi do nich urazy.

Wszyscy uznali za naturalne, że odwiedzi dom na tydzień lub dwa. Dlaczegoż by nie? Nie miała wymówki, że potrzebują jej tu, gdzie teraz była. Mogła wyjechać na parę tygodni, Gunnarowi Hedemu nic się nie stanie. Trudno jej było opuścić to miejsce, ale uznała, że najlepiej będzie, jeśli pojedzie, skoro każdy zdaje się tego sobie życzyć.

Może by i chciała, żeby ją prosili o pozostanie. Wsiadała do sań z poczuciem, że radczyni albo panna Stava wyciągną ją i odprowadzą do środka. Wydało jej się nierealne, że sunie aleją, jedzie przez las, a Munkhyttan znika gdzieś za nią.

A może jest tak, że nie chciały jej zatrzymać z czystej dobroci, całkiem słusznie sądząc, że młodość i chęć życia pragną uciec od osamotnienia w Munkhyttan? Może myślały, że znużyło ją czuwanie nad obłąkanym. Ingrid uniosła rękę, chcąc chwycić za lejce, by zawrócić konia. Gdy była już milę od majątku, wpadło jej do głowy, że właśnie dlatego pozwolono jej odjechać. Chciałaby wrócić i zapytać je o to.

To było jak błądzenie po zwodniczym lesie, wśród wielkiej ciszy, która ją otaczała. Nikt jej nie dawał żadnych wskazówek, znikąd odpowiedzi. Tyleż samo radziły jej sosny, świerki, wiewiórki i puchacze, co człowiek.

*

Było jej obojętne, jak przyjmą ją na plebanii. Wydawali się jej bardzo radzi — takie miała wrażenie — ale było jej wszystko jedno. Gdyby nawet znalazła się w zamku, w zaczarowanym ogrodzie, wyszłoby na to samo. Nie ma dość miękkiego łóża, by ukoić tęsknotę.

Z początku Ingrid codziennie prosiła, najczulej jak umiała, by jej pozwolili wyjechać, kiedy już z wielką radością ponownie zobaczyła matkę i rodzeństwo. Lecz akurat teraz droga była całkiem nieprzejezdna. Dziewczyna musiała poczekać, aż ziemia rozmarznie. Skoro nie chodzi o życie, nie musi tak szybko wracać do Munkhyttan.

Trudno było Ingrid zrozumieć, dlaczego tak drażni ludzi, gdy mówi o powrocie do Hedów. Irytowało to ojca i matkę, a nawet ludzi we wsi. Jak można tęsknić do czegośkolwiek na świecie, gdy jest się w Råglandzie?

Szybko pojęła, że lepiej w ogóle nie mówić o tej podróży. Gdy tylko o niej wspomniała, pojawiały się tysiące przeszkód. Nie dość im było, że droga wciąż paskudna. Stawiali wokół niej płoty, mury, fosy. Musiała to dziergać narzuty, to tkać, to znów sadzić. I chyba nie chce ich opuścić przed wielkim przyjęciem urodzinowym! Nie może jechać przed weselem Karin Landberg!

Nie zostało jej nic innego, jak tylko wznosić ramiona do wiosennego nieba i prosić, by pospieszyło się z robotą. Tylko błagać światło i ciepło, tylko zabiegać u miłego słońca, by skierowało swe kroki nad długi las graniczny, by posłało drobne promienie między świerki i stopiło śnieg. „Och, moje najmilsze, wszystko mi jedno, czy białe połacie znikną w dolinie — oby tylko sucho było na górze, oby dało się przejść po ścieżkach, oby pasterki wróciły do szałasów, oby błota się osuszyły, oby się dało wędrować tym szlakiem, o połowę krótszym od głównej drogi”.

Ingrid dobrze wiedziała, kto nie czeka na podwózkę ani nie prosi o pieniądze na podróż, a jedynie błaga, by dało się iść leśną ścieżką. Wiedziała, kto taki odejdzie z plebanii pewnej jasnej nocy, nikogo nie prosząc o zgodę.

Zdawało jej się, że już kiedyś czekała na wiosnę. Każdy dobrze zna to uczucie, gdy się wyczekuje wiosny. Ale teraz dziewczyna wiedziała, że żadna nie była przez nią równie wytęskniona jak ta. Och nie, nie śmiała tych poprzednich razów nazywać tęsknotą!

Dawniej czekała na zielone liście i zawilce, na piosenkę drozda, na okrzyk zazuli. Nie było to nic innego jak zwykła dziecinada. Nie tęskni za wiosną ten, kto myśli tylko

Rozstanie, Tęsknota

Wiosna, Tęsknota

o jej urodzie. Podnieść i ucałować pierwszą kępę trawy, co wystaje spod śniegu. Zerwać pierwszy skulony liść pokrzywy, żeby tylko oparzył i zaświadczył, że nadeszła wiosna.

Wszyscy byli dla niej bardzo serdeczni. Jednak — chociaż nic nie mówiła — tkwiła w nich obawa, że dziewczyna nadal myśli o wyjeździe.

— Nie rozumiem, po co chcesz tam wracać i pilnować jakiegoś szaleńca — powiedziała pewnego dnia Karin Landberg, jak gdyby potrafiła czytać w myślach Ingrid.

— Ech, już wybiła to sobie z głowy — odezwała się wikariuszowa, nim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć.

Kiedy Karin wyszła, przybrana matka rzekła:

— Ludzie gadają, że chcesz nas opuścić.

Ingrid milczała.

— Mówią, że jak Hedemu się polepszyło, to żeś się w nim zakochała.

— O nie, wcale nie od kiedy zrobiło mu się lepiej. — Ingrid zebralo się na śmiech.

— No, w każdym razie, raczej nie jest kimś, kogo można poślubić — rzekła wikariuszowa. — Rozmawialiśmy o tym z ojcem i uważamy, że będzie lepiej dla ciebie, jeśli zostaniesz u nas.

— To miłe z waszej strony, że chcecie mnie zatrzymać — odparła Ingrid. I poczuła wzruszenie, że chcą być dla niej dobrzy.

Jak bardzo by nie była wobec nich uległa, nie chcieli jej uwierzyć. Nie miała pojęcia, z jakiej to gwiazdy odczytywali jej tęsknoty. A teraz przyrodnia matka stwierdziła, że nie powinna wracać do Munkhyttan. I nie koniec na tym.

— Mogliby chociaż do ciebie napisać, skoro jesteś im potrzebna — wytknęła.

Ingrid znów zebralo się na śmiech. To by dopiero było dziwactwo, gdyby nadszedł list z zaczarowanego zamku. Spytała, czy matka sądzi, że król gór pisze do zaklętej panny, gdy ta zasiedzi się u swej matki.

Ach, gdyby tylko wikariuszowa wiedziała, ileż wieści dostała! W głowie by jej się zakręciło.

Wiadomości przychodziły we śnie i na jawie. Hede dawał jej znać, że jest mu potrzebna. Był tak bardzo chory.

Ingrid wiedziała, że on znowu popada w szaleństwo i że musi do niego pojechać. Gdyby ją ktoś o tym powiadomił, natychmiast by odparła, że już to wie.

Wielkie, gwieździste oczy patrzyły coraz dalej i dalej. Kto widział takie spojrzenie, nie uwierzyłby, że dziewczyna się uspokoi i zechce pozostać w domu.

Nietrudno też dojrzeć w człowieku, czy jest mu dobrze czy tęskni. Wystarczy zobaczyć mały błysk radości w oczach, kiedy wraca z pracy albo siada przy ogniu. Ale w oczach Ingrid nikt nie dostrzegał tej iskierki — jedynie wtedy, gdy dojrzała, jak ze wzgórza spływa roztańczony potok. To on wskazywał jej drogę.

Pewnego razu Ingrid siedziała sama z Karin Landberg i zaczęła jej opowiadać o życiu w Munkhyttan. Ta naprawdę się przeraziła. Jak Ingrid mogła tam wytrzymać?

Była już mowa o tym, że Karin miała wyjść za męża. W tym momencie życia nie umiała mówić o niczym innym niż o narzeczonym. Nie potrafiła robić nic, czego on by jej nie nauczył, nie zabrała się za nic, póki go nie spytała o zdanie.

Przypomniało jej się, że Olov powiedział raz coś na ten temat. Mogła użyć tego, by zniechęcić Ingrid, gdyby się okazało, że ta pokochała obłąkańca. Zaczęła więc opowiadać, jak głupi naprawdę jest Hede. Olov twierdził, że gdy zeszłej jesieni był na jarmarku, usłyszał, jak dwaj chłopcy mówią, że Kozioł wcale nie jest obłąkany. Tak tylko udaje, by przyciągnąć uwagę klientów. Lecz sam Olov był przekonany, że owszem, tamten jest naprawdę szalony. Żeby to udowodnić, kupił nędzną kózkę. Pewnie, że był obłąkany. Wystarczyło, że Olov postawił kozę na ladzie z wyłożonymi nożami, by Kozioł uciekł, porzucając swoje towary i wór. I wszyscy potwornie się śmiali na widok jego ataku paniki. To niemożliwe, by Ingrid przejmowała się kimś, kto jest aż tak głupi.

Karin pozwoliła sobie jednak na nieostrożność, bowiem opowiadając tę historię, nie spojrziała ani razu na twarz Ingrid. Gdyby zobaczyła, jak przyjaciółka marszczy brwi, być może dostrzegłaby w tym ostrzeżenie.

— I ty chcesz wyjść za kogoś, kto wyczynia takie niegodziwości! — oburzyła się Ingrid. — To już lepiej wziąć ślub z Kozłem.

Szaleństwo, Plotka

Powiedziała to pełnym i wyraźnym zdaniem, a przy tym tak osobliwe było, że łagodna Ingrid mogła wyrazić coś z podobną ostrością, że ubodło to Karin w samo serce. Przez wiele dni chodziła, martwiąc się, że Olov może nie jest taki, jakim pragnęła go widzieć. Jej życie nabrało przez to goryczy — aż do chwili, gdy o wszystkim opowiedziała Olovowi, a ten życzliwie pocieszył ją i uspokoił.

Nielatwe jest wyczekiwanie wiosny w Värmlandii. Wieczorem pojawia się słońce i robi się ciepło, a jednak nazajutrz śnieg leży na ziemi. Wprawdzie agrest i trawa już zieleńią, ale brzezina — wciąż naga i uparta — nie chce wypuścić listków.

Na Zielone Świątki w dolinie była już wiosna, lecz nie pomogło to w spełnieniu życzeń Ingrid. Ani jedna pasterka nie zamieszkała w lesie, ani jedno bagno się nie osuszyło — nie dało się przejść leśną drogą.

W pierwszy dzień świąt dziewczyna była w kościele wraz z matką. Świąto to tak wielkie, że przybyły powozem. Dawniej Ingrid lubiła, gdy pędem zajeżdżały przed kościół, a ci, co stali na brukowym placu i na skraju drogi, na powitanie ściągali czapki, zaś ludzie, idący środkiem drogi, długimi susami umykali na bok, tak byli zaskoczeni. Lecz teraz nic jej nie radowało. Jak mówi przysłowie: „Tęsknota róży woń odbiera, a księżycowi blask”.

Ingrid spodobało się to, co usłyszała w kościele. Dobrze było wiedzieć, że cud radości może ukończyć tęsknotę uczniów. Podobało jej się, że Jezus pocieszał tych, którzy tak bardzo za nim tęsknili.

Kiedy Ingrid i pozostali siedzieli w kościele, drogą nadszedł wysoki Dalarczyk. Miał na sobie futro, a na plecach niósł ciężki wór — jak ktoś, kto nie odróżnia lata od zimy ani dnia roboczego od święta. Mężczyzna nie wszedł do kościoła, lecz przemknął ze strachem obok koni, uwiązanych do ogrodzenia, i ruszył na cmentarz.

Usiadł na grobie, zamyślił się nad umarłymi, którzy wciąż spali, i nad jedną nieboszczką, która obudziła się do życia. Siedział tam jeszcze, gdy ludzie zaczęli wychodzić z kościoła.

Olov ukazał się jako jeden z pierwszych, a gdy rzucił spojrzenie w stronę cmentarza, dostrzegł Dalarczyka. Trudno powiedzieć, czy to zwykła ciekawość czy też pociągnęło go coś innego — dość że podszedł, by z nim porozmawiać. Chciał sprawdzić, czy możliwe jest, by ten, który został niemal uleczoney, ponownie popadł w obłąd.

I tak, to było możliwe. Dalarczyk powiedział narzeczonemu Karin, że czeka na dziewczynę o imieniu Cmentarna Lilia. Miała tu przyjść i mu zagrać. Umiała tak grać, że słońce tańczyło, a gwiazdy chodziły w kółeczku.

Wtenczas Olov rzekł do Dalarczyka, że ta, na którą czeka, stoi pod kościołem. Jak tylko wstanie, to ją zobaczy. A ona na pewno bardzo się ucieszy ze spotkania.

Wikariuszowa i Ingrid już miały wsiąść do powozu, gdy zbliżył się do nich wysoki mężczyzna. Szedł szybkim krokiem — mimo strachu przed końmi, którym się uklonił — i machał przyjaźnie do dziewczyny.

Na jego widok Ingrid zastygła w bezruchu. Nie byłaby w stanie powiedzieć, czy się ucieszyła ze spotkania czy raczej wpadła w rozpacz, że znów oszalał. Po prostu zapomniała o wszystkim innym na świecie.

Oczy jej nagle rozbłysły. W tej chwili z pewnością nie widziała w nim wynędzniałego biedaka. Czuła jedynie obecność tej pięknej duszy, przez którą cierpiała z tęsknoty.

Dokoła stał cały kościelny tłum, wszyscy zapewne patrzyli na Ingrid. Nikt nie był w stanie oderwać od niej wzroku. Nie poruszyła się, by pójść ku Dalarczykowi; czekała w bezruchu, aż on podejdzie do niej. A ci, którzy widzieli jej oczy błyszczące radością, wierzyli wręcz, że oto zbliża się do Ingrid wielki, wspaniały człowiek, a nie obłąkaniec.

Potem mówili, że wyglądało to prawie, jakby między ich duszami istniało połączenie — sekretna nić — ukryte tak głęboko w podświadomości, że ludzki umysł nie był w stanie tam dotrzeć.

Ale gdy Hede był ledwie dwa kroki od Ingrid, matka przyrodnia chwyciła dziewczynę i szybkim ruchem posadziła w powozie. Nie życzyła sobie spotkania tych dwojga na kościelnym placu, w obecności gapiów. Gdy tylko wsiadły, parobek pogonił konie.

Poniosły się za nimi potworne, dzikie wrzaski. Wikariuszowa dziękowała Bogu, że usadowiła dziewczynę w powozie.

Wiosna

Spotkanie, Cierpienie,
Tęsknota, Miłość

Popołudnie nie było jeszcze późne, gdy na plebanię przyszedł chłop, by pomówić z wikariuszem. Chciał mu opowiedzieć o obłąkanym Dalarczyku, który tak szalał, że musieli go związać. Co radzi wikary? Co z nim teraz zrobić?

Wikariusz nie miał innej rady, jak odwiedzić tamtego do domu. Wyjaśnił chłopu, kim jest Dalarczyk i gdzie mieszka.

Wieczorem opowiedział wszystko przybranej córce. Najpewniej, jeśli pozna prawdę, wróci jej rozum.

Lecz gdy nadeszła noc, Ingrid zrozumiała, że nie ma już czasu, by czekać na wiosnę. Wybrała się, biedne dziewczę, główną drogą do Munkhyyttan. I tędy dojdzie kiedyś do celu — choć dobrze wiedziała, że to trasa dwa razy dłuższa od leśnej ścieżki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Drugiego dnia świąt po południu Ingrid szła główną drogą. Była to jasna okolica, niskie wznieślenia i niewielkie brzeziny między polami, a czasem na ich środku. Na jarzębinie i krzewach rozwinęły się kwiatki, na topolach — soczyste listki, a rowy przydrożne wypełnione były przejrzystą, szumiącą wodą, przez którą przebłyskiwały wymyte kamienie na dnie.

Ingrid rozpaczliwie płakała nad tym, który na nowo popadł w obłąd. Nie wiedziała, czy może coś jeszcze dla niego uczynić i czy zda się na coś jej nagłe odejście z domu.

Była głodna i wyczerpana, trzewiki zaczęły się już rozpadać. Może lepiej, jeśli zawróci. Wątpliwe, czy zdoła dotrzeć do celu.

Im dłużej szła, tym większe było jej przygnębienie. Niewiele pomoże, myślała, to, że pojawi się tam, kiedy on już oszalał. Było za późno, zgasła nadzieja, że można cokolwiek zrobić.

Ale gdy tylko chciała zawrócić, twarz Hedego pojawiała się tuż przy jej policzku, zupełnie jak tyle razy wcześniej. Wtedy nadzieja na powrót ją porywała. Ingrid wiedziała, że to on ją wzywa, czuła w sobie silną wiarę i przekonanie, że owszem, potrafi go uleczyć.

W chwili, gdy Ingrid uniosła głowę z miną nieco mniej zrozpaczoną, minął ją osobliwy korowód.

Był to mały koń, ciągnący niewielką furę, na której siedziała gruba *madame*¹⁶, a obok kroczył chudy, sterany życiem mężczyzna z długim wąsem.

Tu, na prowincji, gdzie nikt się nie znał na sztuce, państwo Blomgrenowie starali się zawsze wyglądać jak prości, zwyczajni ludzie. Przemieszczali się niewielkim, starannie przykrytym wozem. Nie sposób było się domyślić, że są na nim sztuczne ognie, przyrządy magika i marionetki z teatru.

Nikt nie mógł wiedzieć, że siedząca na ładunku gruba staruszka o wyglądzie dostojnej mieszczyki to dawna *miss* Viola, która fruwała w powietrzu, a idący obok mężczyzna, przypominający byłego żołnierza, to sam pan Blomgren, który przerywał sobie monotonię wędrówki fikołkami przez konia i popisami brzuchomówstwa przed publicznością złożoną z drozdów i czyżyków, które jak oszalałe śpiewały na przydrożnych drzewach.

Konik był naprawdę maleńki; dawniej ciągnął karuzelę — dlatego nie chciał iść, gdy nie słyszał muzyki. Pani Blomgren na szczycie fury przygrywała mu zatem na harmonijce, lecz gdy tylko kogoś napotkali, chowała instrument do kieszeni, żeby nie myślano, iż są artystami ulicznymi, bo tych na wsi nie darzy się szacunkiem. W ten sposób poruszali się bardzo powoli, lecz i nie czuli konieczności pośpiechu.

Ślepy skrzypek musiał iść kawałek za nimi, by nie zdradzić się, że należy do tego towarzystwa. Miał psa za przewodnika; nie wolno mu było iść z pomocą dziecka. Nieustannie przypominałoby panu i pani Blomgren o dziewczynce imieniem Ingrid. To byłoby nazbyt bolesne.

A teraz wędrowali po polach, ponieważ nadeszła wiosna. Bowiem, jakkolwiek dobrze zarobili w mieście, państwo Blomgrenowie musieli o tej porze roku wyjechać na wieś. Oto artyści, pan i pani Blomgren.

Nie rozpoznali Ingrid, a ona minęła ich bez powitania, spieszyła się bowiem i nie chciała się zatrzymywać. Lecz zaraz pomyślała, że to niegrzeczne, wręcz bezduszne, więc zawróciła.

¹⁶*madame* (fr.) — pani. [przypis edytorski]

Powrót, Droga, Podróż,
Miłość

Droga

Rozpacz, Zwątpienie

Koń, Muzyka, Artysta,
Pozycja społeczna

Gdyby Ingrid mogła się ucieszyć, z pewnością uszczęśliwiłby ją widok radości starych ludzi. Długo rozmawiali jakimś strasznie prymitywnym językiem. Konik aż odwracał łeb, żeby sprawdzić, czy aby karuzela się nie popsowała.

O dziwo, to Ingrid najwięcej mówiła. Staruszkowie od razu zauważyli, że szła i płakała, i tak bardzo się zatroskali, że musiała im opowiedzieć swoją historię.

Mówienie o własnym losie okazało się plastrem na duszę, albowiem starsi ludzie mieli szczególny sposób słuchania. Klaskali radośnie, gdy mówiła o tym, jak wyszła z grobu, a potem wystraszyła wikariuszową.

Głaskali ją i chwalili, że odeszła z plebanii. Dla nich nie istniało to, co ciężkie i kłopotliwe — we wszystkim dostrzegali lekkość i mnóstwo nadziei.

Nie mieli żadnych punktów odniesienia w rzeczywistości, dlatego życiowa szorstkość i surowość Ingrid w ogóle ich nie dotykała. Wszystko, co usłyszeli, porównywali do świata lalek w teatrze i do pantomimy. Trochę smutku i nędzy jest przecież w każdej sztuce, choćby tylko po to, by wzmocnić efekt. I oczywiście wszystko zawsze kończy się dobrze. W pantomimie wszystko dobrze się kończy.

Ich pogoda ducha była zaraźliwa. Ingrid wiedziała, że nie rozumieją jej wielkiej niedoli, ale i tak radowało ją to, co mówili.

Dostała od nich też prawdziwą pomoc. Opowiedzieli jej, że chwilę wcześniej jedli obiad w gospodzie w Torsåker¹⁷, a gdy wstawali od stołu, dwóch chłopów stanęło przed wejściem z jakimś głupkiem. Pani Blomgren źle znosiła widok szaleńców i chciała natychmiast odjechać, a pan Blomgren był jej posłuszny. A co, jeśli był to głupek Ingrid?! Zanim to powiedzieli, dziewczyna sama uznała, że to bardzo prawdopodobne, i chciała się pożegnać.

Wtedy pan Blomgren spytał uroczyście żonę, czy nie podróżują jedynie ze względu na wiosnę i czy nie jest obojętne, dokąd zmierzają, na co pani Blomgren odpowiedziała pytaniem równie patetycznym: czy mąż naprawdę sądzi, że ona porzuci ukochaną Ingrid teraz, zanim ta odnajdzie swój szczęśliwy port?

Odwrócili więc konika wraz z jego karuzelą i nie dało się już rozmawiać, bo harmonijka musiała znów zagrać. Gdy tylko pani Blomgren chciała coś powiedzieć, musiała przekazać instrument panu Blomgrenowi, a kiedy pan Blomgren raczył przemówić, oddawał go żonie. A maleńki konik przystawał za każdym razem, gdy harmonijka przechodziła z ust do ust.

Przez cały czas pocieszali Ingrid. Odszukali w pamięci wszystkie baśnie, które widzieli w teatrze lalek. Opowiadali o Śpiącej Królewnie i o Kopciuszku. Dodawali jej otuchy każdą bajką, jaką znał świat.

Pan i pani Blomgren przyglądali się Ingrid, aż zobaczyli, że jej oczy zaczynają błyszczeć.

— To oczy artystki! — mówili, kiwając głowami z zadowoleniem. — Czy nie tośmy mówili? Artystyczne oczy!

W jakiś magiczny sposób odkryli, że Ingrid stała się jedną z nich, że należy teraz do świata ludzi-artystów. Wydało im się, że gra w jakimś dramacie. Tak oto terażniejszość zatriumfowała nad przeszłością.

Jechali najszybciej, jak tylko się dało. Staruszkowie obawiali się, że szaleńca Ingrid nie zastaną już w gospodzie.

Ale był tam nadal — co gorsza, nikt nie wiedział, jak go stamtąd wyprowadzić.

Dwaj chłopci z Råglandy, którzy tu z nim przybyli, zamknęli go w pokoju, gdy czekali na konie. Zostawili go tam z rękami związanymi na plecach. Nikt nie wiedział, jak to się stało, że udało mu się oswobodzić kończyny, lecz gdy po niego wrócili, stał tam wolny i wściekły; chwycił krzesło, by zaatakować nim przybyszów. Mogli jedynie wybiec i zaryglować drzwi. Teraz chłopci czekali, aż gospodarz wróci z parobkami do domu, żeby wspólnymi siłami znów mogli go związać.

Nadziei, jaką starzy przyjaciele rozbudzili w Ingrid, nie dało się stłumić. Zrozumiała, że Hede ma się gorzej niż dawniej, ale nie traciła wiary. To nie dzięki baśniom, lecz przez ogrom życzliwości dawnych opiekunów teraz promieniała.

Sztuka

Szaleńiec, Więzień

¹⁷Torsåker — miejscowość w Szwecji, położona w regionie administracyjnym Gävleborg. [przypis edytorski]

Poprosiła o wpuszczenie jej do Hedego. Znała go — jej nie zrobiłby krzywdy. Na to chłopci rzekli, że oni nie są szaleni. Ten tam, w środku, zabije każdego, kto wejdzie bez ochrony.

Przez długą chwilę Ingrid rozmyślała. Jakież to wspaniałe, że właśnie dziś trafiła na pana i panią Blomgren. To musi być jakiś znak. Nie spotkałaby ich na drodze, gdyby nie miało to głębszego sensu.

Zaczęła zastanawiać się, jak Hede wyzdrowiał poprzednim razem. Czy i teraz nie mogła namówić go do zrobienia czegoś, co przypomni mu o dawnych czasach, co wyrwie go ze szponów szaleństwa. Dumiała i dumiała.

*

Państwo Blomgrenowie siedzieli na ławce przed gospodą i wyglądali na tak nieszczęśliwych, jak nigdy wcześniej. Byli bliscy płaczu.

Wtedy podeszła do nich Ingrid i uśmiechnęła się, jak tylko ona potrafiła, pogłaskała ich pomarszczone policzki i rzekła, że wielką radość by jej sprawiło zobaczenie przedstawienia, jakie dawniej oglądała na co dzień. Byłoby to dla niej dużym pocieszeniem.

Najpierw jej odmówili, nie byli bowiem w artystycznym nastroju, lecz gdy posyłała im kolejne uśmiechy, nie mogli się jej dłużej opierać. Rozpakowali swój ładunek i wyjęli trykotowe kostiumy.

Gdy już byli gotowi i zawołali ślepcę, Ingrid wybrała miejsce na spektakl. Nie chciała, by grali na placu przed gospodą. Zaprowadziła ich do ogrodu, znajdującego się na tyłach — była to w zasadzie łąka, na razie jeszcze pusta, na której niebawem miały pojawić się zioła; gdzieś tam jabłonki wypuszczają już pąki. Powiedziała, że chciałaby ich zobaczyć pod jednym z kwitnących drzew.

Kilkoro parobków i służek przybiegło, usłyszawszy skrzypce, mieli więc też małą publiczność. A jednak nie w smak było Blomgrenom występować. Ingrid żądała za wiele. Byli zbyt zrozpaczeni.

Nieszczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że Ingrid zaprowadziła ich do ogrodu. Na tamtą stronę wychodziły okna pokoi gościnnych — zapewne o tym nie pomyślała. Pani Blomgren niemalże uciekła, usłyszawszy gwałtownie otwierane okno. A jeśli szaleniec usłyszał muzykę, a jeśli do nich zeskoczy?

Pani Blomgren musiała się uspokoić, gdy zobaczyła, że w oknie stoi młodzieniec o dostojnym wyglądzie. Był w samej koszuli, ale bardzo porządnej. Spojrzenie miał spokojne, usta uśmiechnięte, dłonią odgarnął włosy z czoła.

Pan Blomgren pracował i był tak pochłonięty spektaklem, że niczego nie zauważył. Pani Blomgren, której zajęciem było jedynie posyłanie całusów, obserwowała wszystko.

Czy to nie dziwne, jak Ingrid, ta dziewczyna, od razu się rozpromieniła? Oczy jej lśniły jak nigdy dotąd, jej biała twarzyczka rzucała prawdziwy blask. A cały ten promienisty połysk skierowała w stronę stojącego w oknie młodzieńca.

On, niewiele myśląc, wszedł na parapet i do nich zeskoczył. Zbliżył się do ślepcy i poprosił o skrzypce.

Ingrid wzięła je od niewidomego i podała obcemu.

— To teraz będzie walc z *Wolnego strzelca* — powiedział.

I zaczął grać. Uśmiechnięta Ingrid wyglądała wręcz jak postać nie z tego świata, pani Blomgren sądziła, że dziewczyna zaraz się stopi się z promieniem słońca i uniesie w górę.

Lecz gdy pani Blomgren usłyszała, jak obcy gra, rozpoznała go.

— Ach tak — powiedziała do siebie — To jednak on. Ach tak, to dlatego chciała zobaczyć nasze przedstawienie.

*

Zamknięty w pokoju Gunnar Hede tak się wściekł, że gotów był zabijać, lecz nagle usłyszał, jak ślepiec gra na skrzypcach za oknem. Przypomniało mu to scenę z jego dawnego życia.

Wspomnienia

Zaczął się zastanawiać, gdzie podziały się jego własne skrzypce i przypomniał sobie Ålina, który mu je zabrał, więc nie zostało mu nic innego, jak pożyczyć instrument od niewidomego i grą ukoić duszę. Był potwornie wzburzony.

I kiedy tylko poczuł w dłoniach skrzypce, zaczął muzykować. W ogóle nie pomyślał, że może nie potrafić grać. Nie miał pojęcia, że przez wiele lat znał tylko kilka najprostszych melodii.

Był przekonany, że znajduje się w Uppsali, pod kamienicą z dzikim winem. Spodziewał się, że linoskoczkowie rozpoczną tańce, tak jak poprzednim razem.

Hede chciał zagrać coś bardziej żywego, by ich do tego zachęcić, ale palce miał sztywne i dziwnie niechętne, a smyczek nie zawsze go słuchał. Wysilał się tak, że krople potu wystąpiły mu na czoło. W końcu wydobył z instrumentu właściwą melodię — tę, do której tańczyli poprzednim razem. Grał tak kusząco, tak uwodzicielsko, że topniało przy tym niejedno serce.

Lecz starzy akrobaci nie ruszyli w tany. Wiele lat minęło od spotkania z Hedem w Uppsali. Nie pamiętali, jak wówczas ich zachwycił. Nie mieli pojęcia, czego od nich oczekuje.

Hede spojrzał na Ingrid; chciał, by wyjaśniła mu, dlaczego linoskoczkowie nie tańczą. W chwili, gdy ujrzał jej oczy, tak niebiańsko promieniste jak wtedy, zdziwił się i przestał grać.

Stał tak przez chwilę i spoglądał dokoła. Osobliwe, załęcznione spojrzenia — wszystkie utkwione w nim.

Nie da się grać, kiedy ludzie gapią się w ten sposób. Po prostu od nich odszedł. W oddali, w ogrodzie, dojrzał kępę kwitnących jabłoni. Ruszył w jej stronę.

Zauważył, iż nic nie zgadza się z jego wyobrażeniem sprzed chwili: że Ålin go zamknął i że jest w Uppsali. Ogród był za duży, a domu nie porastało czerwone listowie. Nie, to nie mogła być Uppsala.

Nie przejmował się jednak bardzo tym, gdzie się znajdował. Wydało mu się, że od wieków nie grał, a teraz miał w rękach skrzypce. Teraz to on zagra.

Oparł podbródek na skrzypcach i zaczął. I znów powstrzymały go sztywne ruchy palców. Mógł wydobyć tylko najprostsze melodie.

— Tu trzeba chyba zacząć od podstaw — powiedział.

Uśmiechnął się i rozpoczął od prostego menueta¹⁸. To był pierwszy utwór, jakiego się nauczył. Grał go ojciec, a Hede powtarzał za nim ze słuchu. Oczami wyobraźni zobaczył całą scenę. I usłyszał słowa: „Mały książę miał zatańczyć, ale złamał sobie nogę”.

Potem spróbował jeszcze kilka krótkich tańców. Grywał je jako uczeń. Poproszono, by przychodził na pensję dla panien i grał, gdy one ćwiczą taniec. Patrzył, jak dziewczęta to skaczą, to wirują, a nauczycielka wytupuje rytm.

Był teraz coraz śmielszy. Grał pierwsze skrzypce w Mozartowskim¹⁹ kwartecie. Nauczył się tego, będąc gimnazjalistą w Falun. Kilku starszych panów ćwiczyło utwór przed koncertem, a ponieważ pierwsze skrzypce się pochorowały, przejął ich rolę, choć był bardzo młody. Niemało miał z tego tytułu powodów do dumy.

Gunnar Hede myślał tylko o tym, by rozruszać palce, gdy wygrywał teraz melodie z dzieciństwa. Niebawem poczuł jednak, że dzieje się z nim coś cudownego.

Miał wyraźne wrażenie, że jego umysł wypełnia głęboki mrok, skrywający to, co minęło. Gdy tylko chciał sobie coś przypomnieć, było to niczym błądzenie po ciemnym pokoju. Ale kiedy grał, mrok ustępował. Nie myślał o tym w ogóle, ciemności same się rozprasały, a on przypomniał sobie dzieciństwo i szkolne czasy.

Niech skrzypce go prowadzą, może przepędzą mrok.

Tak też się stało — z każdym kolejnym fragmentem melodii zasłona unosila się. Skrzypce wiodły go przez kolejne lata, budziły pamięć studiów, przyjaciół, radości. Szedł ku spuszczonej kotarze, uzbrojony w smyczek, a ta powolutku podnosiła się z każdym jego krokiem. Czasem spoglądał za siebie, myśląc, że tam znów robi się ciemno. Ale za plecami miał tylko jasny dzień.

¹⁸menuet — francuski taniec dworski. [przypis edytorski]

¹⁹Mozart, Wolfgang Amadeus (1756–1791) — austriacki kompozytor i wirtuoz gry na instrumentach klawiszowych. [przypis edytorski]

Gra, Muzyka, Powrót

Muzyka, Wspomnienia,
Przemiana, Ciemność,
Pamięć

Instrument dotarł do kilku duetów na fortepian i skrzypce. Skrzypek zagrał jedynie po parę taktów z każdego. A wtedy naraz podniósł się wielki fałd ciemnej zasłony: Hede przypomniał sobie narzeczoną i moment zaręczyn.

Chciał się tu zatrzymać, lecz przed nim gromadziły się jeszcze ciemności. Nie można było zwlekać.

Przeszedł do melodii psalmu. Usłyszał ją raz, gdy był zasmucony. Pamiętał, że siedział wtedy w wiejskim kościele. Dlaczego był tak przygnębiony? Bo chodził wówczas od domu do domu jako biedny sprzedawca obnośny. To było ciężkie życie. I ciężkie wspomnienie.

Smyczek biegł po strunach niczym pędzony wiatrem, kolejne połacie mroku ustępowały. Hede zobaczył wielki las, ośnieżone zwierzęta, a nad nimi zasy, tworzące przedziwne kształty. Wspominał podróż do narzeczonej i zerwanie przez nią zaręczyn. Wszystko to stanęło mu przed oczami bardzo wyraźnie.

Przy żadnym wspomnieniu nie czuł żalu ani radości. Ważne było, że pamiętał. Już samo to stanowiło nieskończoną rozkosz.

Tu smyczek zatrzymał się sam z siebie. Nie chciał prowadzić go dalej. A jednak Hede jeszcze wiele musiał sobie przypomnieć. Ciemność wciąż stała przed nim murem.

Zmusił smyczek, by szedł dalej. A ten zagrał tylko dwie niepozorne melodie — Hede nigdy nie słyszał bardziej ordynarnych taktów. Skąd jego smyczek znał coś podobnego?

Ciemność nie ustąpiła ani trochę na dźwięk tych melodii. Tak naprawdę niczego go one nie nauczyły. Ale zrodził się z nich niepokój, jakiego nie czuł nigdy wcześniej. Szalony, straszliwy lęk w głębi serca, nieuzasadnione przerażenie upadłej duszy.

Przestał grać, nie mógł tego dłużej znieść. Cóż takiego było w tych dźwiękach?

Ciemność nie ustąpiła, a najstraszniejsze było to, myślał, że kiedy nie udawało mu się rozproszyć jej grą na skrzypcach, natychmiast ruszała, by ponownie spowić go mrokiem i pochłonać.

Hede przymykał oczy, gdy grał. Teraz podniósł powieki i spojrzał na rzeczywisty świat. Zobaczył Ingrid — cały czas go słuchała.

Zapytał ją, nie spodziewając się odpowiedzi, tylko po to, by na chwilę oddalić mrok:

— Kiedy ostatnio to grałem?

Ingrid stała przed nim roztrzęsiona. Już podjęła decyzję. Cokolwiek się stanie, niech pozna prawdę.

Miała w sobie strach, ale także odwagę i ogromną determinację. Teraz jej nie ucieknie. Już nie pozwoli mu się wymknąć.

Lecz mimo całej swojej śmiałości nie zdobyła się na powiedzenie mu wprost, że te melodie grywał w stanie obłąkania. Chciała uniknąć jednoznacznej odpowiedzi.

— Grywałeś to w domu, w Munkhyttan, zeszłej zimy — odparła.

Wiele tajemnic zgromadziło się wokół Hedego. Dlaczego ta dziewczyna mówi mu po imieniu? Nie jest z ludu, włosy ma uczesane na modłę wyższych sfer, upięte i zakręcone w loki. Nosi sukienkę z samodziąłu, lecz z koronką przy szyi. Cerę ma białą, a dłonie delikatne. Ta śliczna twarz o wielkich, rozmarzonych oczach nie może należeć do wiejskiej dziewczyny. Pamięć Hedego nie potrafiła mu nic o niej powiedzieć. Dlaczego więc zwraca się doń po imieniu? Skąd może wiedzieć, co grywał w swoim domu?

— Jak ci na imię? — zapytał. — Kim jesteś?

— Jestem Ingrid, którą wiele lat temu widziałeś w Uppsali i pocieszałeś, bo nie nauczyła się tańczyć na linie.

To poprowadziło go do minionych czasów, do rozjaśniającej się już przeszłości. Przypomniał ją sobie.

— Ależ ty wyrosłaś i wypiękniałaś, Ingrid! — powiedział. — I taka elegancka! Cóż za cudna broszka!

Przez długi moment przyglądał się ozdobie. Jakby ją rozpoznał, przypominała klejnot z emalii i pereł, należący do jego matki.

Dziewczyna natychmiast wyjaśniła:

— Dostałam tę broszkę od twojej matki. Z pewnością ją rozpoznasz.

Gunnar Hede odłożył skrzypce i podszedł do Ingrid. Zapytał wzburzony:

— Jak to jest możliwe? Jak możesz nosić jej broszkę? Dlaczego nic nie wiem o tym, że znasz moją matkę?

Ingrid wystraszyła się i poszarzała na twarzy. Wiedziała, co teraz nastąpi.

— O niczym nie wiem, Ingrid. Nie wiem, dlaczego tu jestem. Nie wiem, dlaczego ty tu jesteś. Dlaczego tego nie wiem?

— Och, nie, nie pytaj mnie o to!

Cofnęła się, zasłoniwszy twarz dłońmi.

— Nie chcesz mi tego powiedzieć?

— Nie pytaj, nie pytaj!

Chwycił ją mocno za rękę, żeby wydusić z niej prawdę.

— Po prostu to powiedz! Jestem przy zdrowych zmysłach. Dlaczego są rzeczy, których nie pamiętam?

Zobaczyła w tych oczach coś dzikiego, groźnego. Już wiedział, co Ingrid teraz mu powie. Lecz ona czuła, że nie sposób komuś wyznać, że był obłąkany. To o niebo trudniejsze niż wcześniej sądziła. Niemożliwe, niewykonalne.

— Powiedz to! — powtarzał.

Lecz dziewczyna słyszała w tym głosie, że on nie chce poznać prawdy. Mógłby ją nawet zabić, jeśli to wypowie.

Przywołała na pomoc całą swoją miłość i spojrzała w oczy Gunnarowi Hedemu.

— Byłeś nie do końca zdrowy na umyśle.

— Chyba nie za długo?

— Dokładnie nie wiem. Trzy, cztery lata.

— Taki całkiem szalony?

— Nie, nie. Kupowałeś i sprzedawałeś, chodziłeś po jarmarkach.

— To jak, byłem głupi?

— Bałeś się.

— Kogo się bałem?

— Zwierząt.

— Kóz może?

— Tak, najbardziej kóz.

Cały czas Hede trzymał mocno jej rękę. Teraz ją puścił i z całej siły odepchnął. Odwrócił się od Ingrid, wściekły, jak gdyby perfidnie rzuciła mu w oczy oszczerstwo.

Lecz to uczucie ustąpiło miejsca innemu, które wzburzyło go jeszcze bardziej. Wyraźnie, jakby żywy obraz, stanął mu przed oczami wysoki Dalarczyk, zgięty pod wielkim worem. Zamierza wejść do chałupy, ale dopada go mały, żaloszny piesek. Mężczyzna przystaje, kłania się wielokrotnie, bojąc się wejść, aż wychodzi chłop i ze śmiechem odgania zwierzę.

Gdy to zobaczył, powrócił przeraźliwy lęk.

Strach spowodował, że wizja zniknęła, ale teraz nadeszły głosy. Ludzie krzyczą i wołają ją dokoła. Słychać śmiechy, rozbrzmiewają wyzwiska. Donośne wrzaski dzieci przerażają najbardziej. Jedno słowo, imię, ciągle powraca — wykrzykują je, wołają, szepczą, syczą mu do ucha: „Kozio! Kozio!”.

A wszystko to dotyczy jego, Gunnara Hedego! W tym żył. Będąc przy zdrowych zmysłach, poczuł ten sam niewypowiedziany strach, którego doświadczył w szaleństwie. Lecz nie był to już lęk przed obcymi — teraz bał się samego siebie.

— To ja. To byłem ja — powiedział, załamując ręce. Po chwili ukląkł obok ławeczki i oparłszy się o nią, zapłakał.

— To byłem ja! — wyl i szlochał. — To byłem ja!

Czy będzie miał odwagę, by udźwignąć te myśli? Udręczony, wysmiany głupek!

— Chcę znów oszaleć! — Mocno uderzył o ławkę. — Człowiek tego nie zniesie.

Wstrzymał na chwilę oddech. Mrok zbliżał się ku niemu niczym wezwany zbawiciel. Sunął w jego stronę, jak nadciąga mgła. Na usta wpełzł słaby uśmiech. Czuł, jak rozluźniają się mięśnie, jak powraca spojrzenie szaleńca.

Tak było jednak lepiej. Tego drugiego nie sposób wytrzymać. Wytykany, wysmiewany, wzgardzony, obłąkany! Nie, lepiej popaść na powrót w stan szaleństwa i o tym nie wiedzieć. Po co mu znów jego życie? Wszyscy go nienawidzą.

Ciemność owinęła go pierwszym, lekkim rąbkiem zasłony.

Ingrid słuchała tych lamentów, zdając sobie sprawę, że zaraz wszystko znów będzie stracone. Dobrze wiedziała, że obłąkanie porwie go ponownie.

Stała tak, bezgranicznie przerażona, odwaga ją opuściła. Lecz zanim Hede znów osza-

Prawda, Szaleństwo, Strach,
Pamięć, Wspomnienia

Miłość, Odwaga

leje i będzie bał się tak, że nie pozwoli nikomu się do siebie zbliżyć, chciała przynajmniej pożegnać i jego, i swoje szczęście.

Hede poczuł, jak Ingrid podchodzi, klęka obok niego, kładzie mu rękę na karku, przytula twarz do jego policzka i go całuje.

Nie cofnęła się przed nim, szaleńcem, nie cofnęła się przed pocałunkiem!

Usłyszał w mroku coś jakby lekki szelest. Rozwiewające się opary odsłoniły wężowe głowy, zwrócone w jego stronę; gady syczały z wściekłości, że nie dane im było go ugryźć.

— Nie martw się zanadto! — odezwała się Ingrid — Nie martw się. Nikt nie myśli o tamtym. Obyś tylko wyzdrowiał!

— Chcę znowu oszaleć — powiedział. — Nie mogę tego znieść. Nie mogę nie myśleć o tym, jaki byłem.

— Ależ możesz.

— Nikt nie zapomni — szlochał. — Byłem taki straszny. Nikt mnie nie polubi.

— Ja ciebie lubię.

Niepewnie uniósł głowę.

— Pocałowałaś mnie, żebyś nie oszalał. Ty mi współczujesz.

— Jeszcze raz cię pocałuję.

— Mówisz tak tylko dlatego, żebyś to usłyszał.

— Chcesz usłyszeć, że ktoś cię lubi?

— Czy chcesz? Boże, czy tego chcesz? Ach, dziecino... — Wyrwał się z jej uścisku. — Jak znieść to, kiedy wiem, że każdy na mój widok pomyśli: „Ten był obłąkańcem. Kłaniał się psom i kotom”.

Znowu się załamał. Leżał, płacząc w dłonie.

— Już lepiej znów oszaleć. Słyszę, jak wołają i widzę tam siebie. I jest tam strach, nieskończony lęk.

Wreszcie Ingrid straciła cierpliwość.

— Owszem, masz rację — krzyknęła. — Oszalej ponownie! Jakież to typowe dla mężczyzny: lepiej być szaleńcem, wtedy lęki cię ominą.

Gryzła teraz wargi, walczyła ze łzami, a że żadne słowa nie przychodziły jej do głowy, chwyciła go za ramię i mocno nim potrząsnęła.

Była rozgoryczona, trzęsła się z wściekłości, bo znowu jej się wymykał, bo nie chciał zawalczyć o siebie.

— Co cię obchodzi ja, co cię obchodzi matka? Oszalej sobie, będziesz miał święty spokój!

Jeszcze raz mocno nim potrząsnęła.

— „Żeby nie musieć się bać”, powiadasz. Ale nie boi się ta, która czekała na ciebie przez całe swoje życie, a ty nie przychodziłeś! Gdybyś miał serce dla kogoś poza sobą samym, stanąłbyś do walki ze złem, byłbyś zdrowy. Ale ty dla nikogo nie masz serca. W wizjach i w snach potrafisz przychodzić i wzruszająco prosić mnie o pomoc, ale w rzeczywistości jej nie chcesz. Roisz sobie, że twoje cierpienie jest największe na świecie. Ale są też inni, a ich los jest o wiele cięższy.

Wreszcie Hede podniósł wzrok i spojrzał jej głęboko w oczy. W tym momencie nie wyglądała zbyt ładnie. Łzy lały się strumieniami, a usta drżały od słów, które chciały przedrzeć się przez szloch.

Lecz jemu wydała się piękna w tej wściekłości. Spłynął na niego dziwny spokój i wielka, łagodna wdzięczność. Coś wspaniałego spotkało go w chwili jego upadku. To musi być miłość, wielka miłość.

Siedział, lamentując nad swoją marnością, kiedy miłość już pukała do drzwi. Oto, gdy wróci do życia, ludzie nie tylko będą go znosić. Nie tylko przestaną się z niego naśmiewać.

Tu była ta, która go kochała i za nim tęskniła. Mówiła do niego surowo, lecz on w każdym jej słowie usłyszał drżenie miłości. Wydało mu się, że daje mu tron i całe królestwo.

Opowiedziała mu, jak, będąc szaleńcem, uratował jej życie. Obudził ją niemal umarłą, wyniósł z grobu i ochronił. Lecz jej to nie wystarczyło. Pragnęła go mieć dla siebie.

Ucałowała go, a on poczuł, jak cudowny balsam rozlewa się po jego duszy; nie śmiał jeszcze uwierzyć, że to miłość prowadzi dziewczynę. Jednak w jej złość i jej łzy nie wątpił. Był kochany — on, nędzny, straszny człowiek, on, biedna poczwara.

Miłość

Wobec tej czulej rozkoszy, rozbudzonej w sercu Hedego, rozwiały się ostatnie ciemności. Podniosła się ciężka, szeleszcząca zasłona — teraz zobaczył wyraźnie królestwo strachu, przez które wędrował. Lecz tam, w tym mrocznym świecie, spotkał także Ingrid, tam wyjął ją z grobu, tam dla niej grał w leśnym szałasie. To tam ona robiła wszystko, by go uzdrowić.

Nie tylko we wspomnieniach do niego przychodziła. W tym samym czasie budziły się uczucia, podobne do tych, które ona wcześniej mu wyznawała. Serce wypełniła mu miłość. Dotknęło go żarliwe pragnienie, to samo, które poczuł przed kościołem w Råglandzie, kiedy mu ją odebrano.

W krainie przerażenia, na wielkiej pustyni, rósł jedyny kwiat, który go pocieszał wonią i kolorem. A teraz poczuł, że miłość będzie trwała. Dzika, pustynna roślina dała się przenieść do ogrodu życia, tu zapuściła korzenie, rozkwitła. I gdy tylko to poczuł, wiedział — jest uratowany, ciemność została pokonana.

Ingrid zamilkła. Była zmęczona jak po ciężkiej pracy, ale też spokojna, jakby wykonała ją w najlepszy możliwy sposób. Wiedziała, że odniosła zwycięstwo.

Wreszcie Hede przerwał tę ciszę.

— Obiecuję ci, że teraz to zniosę.

— Dziękuję.

Nie powiedzieli już nic więcej.

Hede nie potrafił wyznać Ingrid, jak bardzo ją kochał. Nie znajdował słów, mógł tylko to okazywać każdego dnia i w każdej chwili — przez całe długie życie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3..

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lagerlof-legenda-starego-dworu/>

Tekst opracowany na podstawie: Selma Lagerlöf, *Legenda starego dworu*, tłum. Justyna Czechowska, wyd. Fundacja Wolne Lektury, Warszawa 2024.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl). Projekt dofinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jednak wyłącznie poglądami autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury. Ani Unia Europejska, ani organ przyznający dofinansowanie nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-7877-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).